N. 33. WARSZAWA d. 7 (19) Lipca 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

MOTINA BAŁTA

(BIAŁA MACIERZ)

PODANIE LUDOWE WZIĘTE Z LITEWSKIEGO

PRZEZ

Zorynę Grot.

I.

Tam gdzie ta góra, góra zielona,
Białym powojem obwija czoło,
Jako wieżyca w niebo dźwigniona,
Albo murawą porosłe sioło,

Tam dawno, dawno, przed mnogie laty
Było jeziorko święconéj doli,
A na jeziorku w kształt wiejskiéj chaty
Stała wysepka z wonnych topoli.

Wody, wysepka i łódź u brzegu
Świętości saméj nosiły znamię,
I były czyste jak płatek śniegu
Zrzucony z niebios na Alpów ramię.

Bo na wysepce w pośród jeziora
Litewskich Bogów było siedlisko,
A u ołtarzy święcona kora
Syciła Znicza złote ognisko.

Czemuż płomienie palą i niszczą?
Czemuż kochanie życiu płomieniem?
Czemu z za chmury gwiazdy tak błyszczą
Jakby gardziły grobowym cieniem?

Cień... noc... pół-życie... senne istnienie,
Srogą męczarnią młodemu sercu!
Cóż to? słyszycie! zda się westchnienie
Na szmaragdowym góry kobiercu?

II.

Pięknemi były święte dziewice,
Litewskie córki poczciwych matek,
Miały jak niebo jasne źrenice,
A tak błękitne jako bławatek.

Ale Danuta z pobliskiéj wioski,
Krasą nad wszystkie słynęła dziewy,
Nad czołem miała złociste włoski,
W ustach wietrzyka wonne powiewy.

Jak rozkwitniona w polu kalina,
Wśród Wajdelotek, na wyspie Bogów,
Płonęła wdziękiem młoda dziewczyna,
Zdala od chaty rodzinnéj progów.

Jedną u matki była Danuta.
Jak jednem życie od Boga dane:
Życie to rozkosz! życie pokuta...
Życie, to czasem... bańki mydlane!

III.

Co tobie matko? dokąd tak bieżysz
Po nocy boso i trwożna?..
I błędnem okiem jezioro mierzysz,
Jak ludziom patrzeć nie można!..

Niespokój siwe rozrzucił włosy,
Blade pomarszczył ci skronie,
I pot wystąpił kroplami rosy,
I oko we łzach ci tonie.

Och! nie pytajcie nieszczęsnéj matki,
Przyśniła zimną jaszczurkę,
Jaszczurka gryzła polne bławatki,
Więc niespokojna o córkę...

Szukając łodzi koło wybrzeża,
Obchodzi w okrąg jeziora,
Lecz w miejscu łodzi gałązka świeża,
Niby zgubiona z wieczora. .

A biała łódka, łódka lipowa,
Na czarnych świeci się falach,
Koło wysepki cisza grobowa,
Niebo w iskrzących opalach!

Słowik nie kwili, Znicz skrą nie tryska,
Cicho i ciemno jak w grobie!
Nieszczęsnéj matce ból pierś uciska
I serce w czarnéj żałobie!

Patrzy ku wyspie, staje u brzegu,
Wyschłe wyciąga ramiona,
I ot za chwilę już w fali biegu
Po nad przepaścią zwieszona,

Płynie na środek jeziornéj głębi,
Z okiem utkwionem w topolę,
Lodowe tchnienie serca nie ziębi,
Choć wieczna otchłań na dole.

Już jest u brzegu: drżąca i blada,
Bosą go stopą przebywa,
Nagle, o nieba! „jaszczurka!.. zdrada!..“
Matka zatrzęsła się siwa.

Tam u stóp Znicza, piękna Danuta,
Święcona bogom dziewica,
Na pierś rycerza słodko przykuta,
Do ust przytula mu lica!

Głaz z wyschłą dłonią z za drzew ciśniony,
Rycerza w miejscu otula,
Dziewczę porwane matki ramiony,
Łodzią się z wyspy oddala.

Już łódź zniknęła.... wyspianne wrzosy....
Matka złamana i chora,

Niewierne dziecko chwyta za włosy
I ciska na dno jeziora!

A znieważone Bogów siedlisko,
Wyspa z zielonych topoli,
Zapadła w wodę, w samą głąb' nisko,
Jak ziarno piasku czy soli!

I na tem miejscu, niby mogiła
Stanęła góra zielona;
Mianem ją „Matki" baśnia ochrzciła,
A kwiaty wyszły z jéj łona.

Kwiaty bieluchne jak czyste serce...
Więc dzisiaj miana połową
Patrząc na kwiecia śnieżne kobierce
„Bałtą" ją tylko już zowią (1).

(1) Biała góra, po litewsku Bałta, leży w powiecie Trockim, w gubernii Wileńskiej, nad rzeczką Mereczanką.

PRELEKCJA

Dra Stanisława Tarnowskiego.

Kraków r. b.

Romans polski w początkach XIX wieku.

Gdybyśmy śledzić chcieli pierwsze chwile narodzin *Powieści*, musielibyśmy sięgnąć bardzo daleko, kiedy ludzkość z pierwszym brzaskiem budzącéj się myśli, chwytała duchem niewyraźne echa z upłynionych wieków. Podania, legendy, to także opowieść,—w których prawdę jak korek w kłębku nici osnuwa fantastyczność. Któż im chwile narodzin oznaczy? Rozmiłowana w nich ludzkość, powtarza je, rozszerza, przystraja, wreszcie rzuca nasionka dla nowych podań i legend, i przyczepia je do każdéj wybitniéjszéj miejscowości, do kamienia, przepaści, skały, góry lub strumienia, i to w tak wielkiéj obfitości, że dzisiejsze pokolenie już je w całości ani wysłuchać, ani spisać nie potrafi.

Do podań i legend przybywa tak zwana przez lud histo rja, a raczej *bajda*,—utwór już czystéj fantazji, w którym ludzie w starciu z namiętnościami uosobionemi w najpotworniéjszych postaciach, główną odgrywają rolę. Bajda jednak utrzymuje się tylko w ustnem opowiadaniu; z niéj wysuwa się powieść drukowana, która dla zajecia i zabawy porzuca smoki, wiedźmy i istoty nadprzyrodzone, ale zapełnia je za to nadzwyczajnościami, w pośród których cnota i niewinność prześladowana, po chwilowym tryumfie złego odbiera zasłużoną nagrodę. Podania i legendy tworzy cała ludzkość; jest to owoc wyhodowany poetycznem usposobieniem wszystkich, jakie każdy wraz z życiem odbiera. Przybywa do nich wyraz po wyrazie, myśl po myśli, obrazek po obrazku, i dlatego takiego nabierają znaczenia w szrankach nauki poświeconych badaniu rozwoju ducha ludzkiego. Bajdy tworzą już pojedyncze osobistości większą obdarzone twórczością,—ogół słucha ich, zachwyca sie niemi, ale powtarzają je tylko jednostki.

Pierwsze drukowane powieści pod tem samem powstają prawem; niektórzy piszą je, reszta czyta, a że czyta je chętnie przyczyny tego nie należy szukać koniecznie w warunkach ujemnych, ale w tem, że powieść, tak czy owak, zawsze obrazuje życie ludzkie które każdy czuje w sobie, gdy nauka może być tylko przystępna dla wyższych umysłów.

Dziś powieść z postepem ogólnéj oświaty usłachetniwszy się, stanęła na gruncie prawdy, i za tło biorąc rzeczywistość, zagarnęła w ramy swoje wszystkie kwestje społeczne, pokazując ludzi jakiemi są a jakimi być powinni, jakie mają przekonania, pojęcia i urządzenia społeczne, a jakie mieć powinni i jakich pozbyć się należy, żeby te do ogólnego dobra nie przeszkadzały. Jeżli nie każda spełnia te warunki, to nie wina powieści ale piszącego.

Widzieliśmy to u siebie przed trzydziestu ośmiu laty, kiedy dwudziestoletni J. I. Kraszewski wystąpił jako powieściopisarz, a po nim pojawili się na téjże saméj drodze, Józef Korzeniowski, Henryk Rzewuski, Chodźko, Józef Dzierzkowski, Zygmunt Kaczkowski, Kajetan Suffczyński, Jan Zacharjasiewicz, wreszcie pani Orzeszkowa i Morzkowska.

Kraszewskiego zasługa spoczywa i to nieoceniona w tem, że rozrzucając dziesiątkami tomów corocznie powieści swoich, powoli usuwał z pod czułego oka buduarów dam wyższego tonu, romanse francuzkie, przeważnie treści skandalicznéj, których nieśmiano na polski język tłumaczyć, a w sprawozdaniach potrzeba było ohydne sceny wypuszczać, lub okrywać szatą przyzwoitości. Zrobiwszy pierwszy wyłom, z podziwieniem każdego, ujrzano polską, oryginalną powieść na woniącéj toalecie zbytkowéj, przechodzącą póżniéj do warstw coraz niższych, tak, że ten co sylabizował *Kurjera Warszawskiego*, nauczył się, podniecony ciekawością, dobrze i płynnie czytać na powieściach Kraszewskiego i jego następców.

Był czas, kiedy nawał powieści nagle zaczął się przerzedzać: w ciągu kilku lat pomarli przedstawiciele polskiéj powieści, jak: Korzeniowski, Rzewuski, Chodźko, Dzierzkowski,—Zygmunt Kaczkowki skruszywszy pióro, przeszedł na pożywniejsze pole spekulacji przemysłowych,—Zacharjasiewicz jeden dotrzymuje na swém stanowisku, Suffczyński skąpo się udziela, a Kraszewski po dawnemu, z równym talentem i rzutkością zasila prassę perjodyczną i wydawnictwa księgarskie liczną co rok liczbą tomów.

Do oryginalnych powieści, przybywa coraz większa liczba tłumaczonych: wszystkie pisma literackie i polityczne drukują powieści, a czytelnikowi najpilniejszemu zabraknie czasu, żeby chciał wszystkie drukujące się u nas tego rodzaju utwory przeczytać.

Sarkania przeciw téj lawinie powieści nieraz głośne były ale ucichały wkrótce, przekonawszy się, że popęd ogółu zawsze się ku nim nachylał. Objaw ten ma wyższe duchowe powody, przeciw którym występować trudno: myśliciel poważny winien je tylko troskliwie badać, bo one stanowią zawsze wydatny rys charakterystyki ludzkiéj społeczności.

Coraz silniejszy pociąg do powieści pojawia się u nas wyraźniéj przed pół wiekiem, i w miarę rozwijania się jego, wzrasta i rozwój literatury, powiększa wydawnictwo, się mnożą księgarnie i drukarnie, i dziś są liczne warstwy społeczności, których jedyną strawą duchową i literaturą, są powieści i romanse zarówno oryginalne jak tłómaczone.

W tym stanie rzeczy, przychodzi do nas poważny głos Dra Stanisława Tarnowskiego, docenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, który swoją prelekcję mianą w dniach 10 i 17 Grudnia 1870 roku drukiem ogłosił w Krakowie r. b. p. n. *Romans polski w początku XIX wieku.*

Gałęź tę literatury, z całą siłą wywodów rozumowanych, stara się poniżyć jéj jałowość, jéj nawet nicość duchową i nieużyteczność dla społeczności, wykazać—a pisarzy powieści nawet za szkodliwych, dla moralności społecznéj przedstawić.

„Ktokolwiek niemoże być poetą, powiada autor na str. 65, staje się powieściopisarzem? Powieść historyczna już znikła, nikt jéj w Europie nie pisze, powieść zaś obyczajowa chociaż jest, ale już nie działa na umysły.

Wysoce szanujemy prace p. Tarnowskiego, znać wnich nietylko sumienne studja, zbadanie głębokie przedmiotu i talent niepośledni, ale w rozprawie pomienionéj, dostrzegamy chociaż w starannéj osłonie, ukrytą gorycz przeciw temu, który u nas stanął pierwszy na czele powieściopisarzy nowego okresu. Autor, wspominając Rzewuskiego i Korzeniowskiego, jednem słówkiem nie wymienia J. I. Kraszewskiego, jakby to nazwisko było u niego pod klątwą. Ta tendencyjność ostrożna, odejmuje téj prelekcyi wiele wartości, którą ma rzeczywiście w ustępach, gdy kreśli przebieg rozwoju powieści w pierwszéj połowie XIX wieku, lubo i tu niemożemy się zgodzić na sądy doraźne p. Tarnowskiego, w ocenie pisarzy takich jak J. U. Niemcewicz i Fryderyk hr. Skarbek. Przepomniał też autor, na tém polu najznakomitszego utworu Klementyny Tańskiéj „*Dziennik Franciszki Krasińskiéj*" prawdziwie historycznéj powieści, a który mieści się właśnie w tym okresie, o którym mówi w swojéj prelekcyi.

Dziś żyjemy w dobie, w któréj żadne czasowe pismo, bez *dobrych* powieści istnieć niemoże. Redakcje muszą kierować się podług ogólnych pragnień,—idzie tylko oto, ażeby dobierały utwory mogące podosić szlachetne strony w człowieku, a nie rozniecały namiętności i zepsucia moralnego.

Bliżéj patrzący na ruch umysłowy, niemożemy potwierdzić zdania p. Tarnowskiego, „że powieść obyczajowa już nie działa na umysły. "Przeciwnie,—dawnego uroku i właśnie przewagi na umysły, dojrzeć bre i z talentem pisane powieści, w najmniejszéj cząstce nieutraciły.

Jak długo ta przewaga i zamiłowanie do tego rodzaju utworów trwać będzie,—nie wiemy... a wróżby jakie wyczytujemy w prelekcji p. Tarnowskiego, pozostawiamy na odpowiedzialność szanownego autora.

G.

Korespondencja Tygodnika Mód.

(Dokończenie.)

Lwów — Sierpień.

W połowie Lipca odbyło się we Lwowie doroczne walne zgromadzenia towarzystwa pedagogicznego. Posiedzenia trwały prawie cały tydzień i były bardzo ciekawe. Towarzystwo pedagogiczne odróżnia się tém bardzo szczęśliwie od reszty lwowskich stowarzyszeń, że wytknąwszy sobie cel jasny i niezbaczając nigdy na drogi niewłaściwe i niezgodne z pierwotnym programem zasadniczym, skupiło około siebie znakomite grono nauczycieli. Towarzystwo pedagogiczne nie rywalizowało hałaśliwem próżniactwem z różnemi naszemi stowarzyszeniami, lecz cicho i skromnie pracowało w swoim zakresie. To też inne towarzystwa sprzeniewierzywszy się zaraz na wstępie swojemu programowi, rychło straciły podstawę bytu, a towarzystwo pedagogiczne zjednało sobie powoli znaczny zastęp członków i wykazać się może pięknym szeregiem prac dokonanych. Sprawozdania przekładane corocznym zgromadzeniom dowodzą, że towarzystwo pedagogiczne rozwija się pięknie i z czasem może się przysłużyć krajowi.

Tegoroczne zgromadzenie towarzystwa pedagogicznego było daleko ciekawsze niż poprzednie. Po załatwieniu spraw administracyjnych towarzystw

zajmowało się kwestjami żywotnemi, a niektórzy członkowie wystąpili z ciekawemi odczytami. I tak profesor Wachnianin odczytał ciekawą rozprawę w ruskim języku: „O pieśniach narodowych“. Dr. Zygmunt Samolewicz odczytał rozprawę p. t. „Karność w szkołach pruskich i naszych“ a Dr. Benoni przedłożył program wykładu historji w szkołach gimnazjalnych, ułożony na podstawie programu przyjętego w szkołach pruskich. Obaj ci ostatni prelegenci, wysłani zostali w ubiegłym roku na koszt Wydziału krajowego do Prus, dla zbadania systemu naukowego przyjętego w szkołach pruskich; z podróży téj mają obecnie zdać sprawę. Rozprawy powyższe stanowią część sprawozdania.

Na tem kończy się zasób nowin ostatniego miesiąca. A literatura? a teatr?—zapytają może czytelnicy.

Literatura staje się dla Lwowa pojęciem mitycznem, o którem niezadługo tylko głucha pozostanie tradycja. Wystawy wszystkich księgarń zapełnione są książkami, wydanemi w Warszawie albo w Poznaniu. O projektach literackich, o zamierzonych publikacjach nic nigdzie nie słychać. Nasze księgarnie są już tylko prawie wyłącznie zakładami komisowemi, a jeżeli już która z nich odważy się wydać jaką książkę, to będzie to niezawodnie albo jakiś podarunek, albo dziełko informacyjne. Kilka pism literackich które obecnie jeszcze posiadamy nie może skupić około siebie grona lwowskich literatów, bo wątłe zasoby i zupełny brak poparcia, nie pozwala im ani rozszerzyć ani wydoskonalić programu. Dziś już trudno się łudzić nadziejami! Ruch literacki rozbił się u nas kompletnie i nie podniesie się tak rychło, jeżeli ktoś nie wystąpi z energiczną, śmiałą i wytrwałą inicjatywą.

Teatr polski odbywa obecnie ferje, a tymczasem sprawa teatru niemieckiego zbliża się ku stanowczemu rozwiązaniu, które wypadnie pomyślnie dla fundacji Skarbkowskiéj. Rząd objawił już otwarcie zamiar uwolnienia téj fundacji odciężaru, jakim było dla niéj przymusowe utrzymywanie sceny niemieckiéj. Ministerstwo porozumiewa się w téj sprawie z Wydziałem krajowym i administracją fundacji Skarbkowskiéj i nie ma prawie wątpliwości, że dni teatru niemieckiego we Lwowie są już policzone, a fundusz Skarbkowski będzie użyty na cele wskazane w testamencie zacnego fundatora.

Br. Ł.

Pogadanka.

Z rozmową naszą z czytelniczkami Tygodnika Mód, zwaną *Pogadankami*, stało się to samo co z kawalerem cokolwiek podstarzałym samotnością, a steryczałym zawodami serca lub posagowych wyrachowań. Rozmowny, wesoły, nawet przyjemny przed chwilą, szukający ludzi i towarzystwa, nagle zamyka się w ciszy swego ducha, unika wszystkich, nawet rodziny i przyjaciół, i wygrzebując z podpopiołów zapomnienia pamiątki przeszłości, smutne myśli rzuca w dal z westchnieniem, rozpatrując obrazy, jakie mu w proroczem natchnieniu tworzy wyobraźnia. Janek z Bielca w tem samem przykrem znalazł się położeniu. Gadatliwy może aż do przesytu, nudzący do znudzenia, wysługujący się jak umie i może, od pewnego czasu stał sie jak mur milczący. Powiadają, że muru głową nie przebije: bywa tak ale nie zawsze, — sprobójmy więc czy się nam nie uda zadać kłam temu przysłowiu.

Jakkolwiek Warsawa w porze letniéj, ze swoim kurzem, trajkotem ulicznym, zaduchem i spiekotą, zwykle jest bardzo nieprzyjemna, i kto może chętnie z niéj ucieka, w tym jednak roku tych niepożądanych właściwości w znacznej części była zupełnie pozbawioną. Burze, pioruny, ulewy i częste flagi, nawiedzały ją tak obficie, że zalewy ulic prawie potopowe nie byłéj rzadkością, a parasol stał się niezbędnym dodatkiem w każdéj wycieczce na miasto. Grad jednak rzadkim był gościem, a w każdym razie nie doszedł rozmiarów tych lodowych brył, jakie podobno spadły w Taganrogu. Jedna z nich co zabiła konia, miała ważyć półpięta funta, inne funtowe dochodziły rozmiarów pomarańczy,a największa jak bochenek sera szwajcarskiego ważyła zapewne kilkanaście funtów. Wiadomości te podane przez naocznego korespondenta, prawie są do nieuwierzenia: byłby to bowiem fakt zbyt ważny, zbyt wiele materjału dostarczający nauce, aby mógł przejść cicho przez kolumny gazeciarskie.

Czyżby przestworza niebios miały naśladować wojenny zapał ludzi? czyżby do bomb i granatów dorzucać miały pociski lodowe równéj niemal siły i szkodliwości?

Jakich strat doznały pola z tych burz i gradobić tegorocznych, wyliczyć niepodobna. Były one zapewne niemałe. Warszawa gdyby mogła, chętnie przyjęłaby na swe murowane gmachy, te gromy rozszalałych żywiołów, w zamian pól plonem zbożowym okrytych.

W każdym razie deszcze tak częste, jakkolwiek dla gospodarzy kłopotliwe i w wielu miejscach zupełnie nie upragnione, pod względem zdrowia stały się wielce zbawiennemi. Miazmata zaraźliwe, unoszące się w powietrzu, do tworzenia których aż nadto było powodów, zamiast rozwijać się i truć ludzi przy oddechu, deszczami przybijane były ciągle do ziemi, i temu to zapewne przypisać należy, że się żadna zbyt groźna choroba nie rozwinęła. Obawy przecież nie nikną, przypominania i przepisy ostrożności dość się często pojawiają, a w wykazie szkodliwych materjałów pokarmowych, zawsze mieści się chleb niedopieczony, stanowiący dla Warszawy szkopuł prawie nie do przebycia.

Sprawa ta domowa choć ważna dla Warszawiaków, dla zamiejskich czytelniczek nieciekawa jak.... trzyaktowe nasze dramata i komedje, których na scenie tutejszego teatru wysłuchać i nudno i trudno, bez drzemki i ziewania. Mimo rozrywek letnich nie brakowało Warszawie, podawanych na różny sposób według wysiłku zręcznych przedsiębierców, umiejących zaciekawiać, pociągnąć i zaostrzyć apetyt przesyconych rozrywkami, i zmusić ich do wydobycia choć z westchnieniem rubelkowéj opłaty biletu.

Po braciach Siamskich, z których podobno jeden złożony śmiertelną chorobą, ma nareszcie naturalnym sposobem rozłączyć się ze swoim prawdziwie dozgonnym towarzyszem, mieliśmy chwilowo: cyrk sztucznych jezdców bez koni, menażerję bez zwierząt i z psem domorosłym wyprawającym różne szpryncze zapewne z zadziwienia, że go zamknięto w klatce menażeryjnéj i kazano gwałtem udawać psa z Australji, któréj oko jego nie widziało. Mieliśmy także linochodów, nie kręcących karki—Flory kilkuset wagowéj tuszy—szybkobiegaczy jak wyścigowe konie—wyścigi jezdców na prawdziwych koniach smukłych i chudych jak szybkobiegacze—wreszcie ludzi chodzących po powierzchni wody jak po posadzce, i co dziwniejsza nie przewracających się, jak to się często zdarza, salonowym trefnisiom. Jeżeli do tego dodamy: kilka loterji fantowych odbytych w celach dobroczynnych w Saskim ogrodzie, codzienne koncerta orkiestry Bilzego w Szwajcarskiéj dolinie, i codziennie przedstawienia teatralne ogródkowe, to łatwo zrozumiemy, że Warszawie zabawy nie brakuje, i przy wycieczkach zamiejskich do Wierzbna, Mokotowa, Willanowa, Czerniakowa, Bielan i Kaskady, może nie zatęsknić do pól dziś plonem darzących gospodarzy, łąk na nowo bujną trawą porastających i lasów szepczących tajemnicze dumy, a szumiących powagą swego majestatu.

Gdyby nie deszcze, największem powodzeniem cieszyłby się p. Bilze ze swą orkiestrą i widowiską teatralne w ogródkach. Świeże powietrze niezaduszone wyziewami miejskiemi, odświeżone od czasu do czasu lekkim wiatru powiewem, ma wielki powab dla wszystkich mieszkańców miast większych, skazanych pracą na siedzenie w miejscach zamkniętych czterema ścianami, lub zmuszonych przebiegać ulicę kurzem, trajkotem i spiekotą przesiąknięte. To też te przyjemności ogródkowe, cień, chłód, cisza i przewiew, głównie nęcą Warszawiaków do ogródków teatralnych i Szwajcarskiéj doliny; scena i muzyka na drugim stoją planie, mała tylko część pragnie z nich rzeczywiście korzystać. Kto nie wierzy, niech rozważnie przejrzy gromadzącą się w nich publiczność, a przyzna że uwaga jest słuszną.

Ci co na koncerta p. Bilzego przychodzą rzeczywiście dla muzyki, zajmują zwykle miejsca wprost orkiestry, w trzech rzędach krzeseł i przy stolikach bliżéj nich stojących. Większość zajmuje dalsze miejsca, choć bliżéj mogłaby się pomieścić,a bardzo wielu szuka stanowisk miejsc jeszcze bardziéj oddalonych, do których już dochodzi tylko huk bębnów i wrzask trąb i piszczałek. Gawędce więc dla jakiéj jedynie przybyli nic nie przeszkadza, a niewyraźny dźwięk instrumentów lub głośniejsze fortissimo, zapełnia w niéj wyborame ustępy milczące, gdy rozmowa nagle się przerwie, lub też podają nowy wątek do jéj ożywienia. Czasami tacy gadateusze znajdą się przy prawdziwych miłośnikach muzyki, są to jak fałszywe akorda, których choć ze skrzywieniem słuchać trzeba i wysłuchać do końca, mimo sykań, krzywień i spoglądań błyszczących gniewem i niecierpliwością. Gawędziarze owi, choć nie lubią słuchać, ale za to *bis!* umieją wrzeszczeć jak opętani, szczególniéj gdzie idzie o jakie wyraziste ustępy, o polkę, mazurka lub figla muzycznego, którym kompozytorowie darzą niewybredną publiczność jak dzieci karmelkiem, żeby nie grymasiło i uśmiechem ożywiło ziewaniem załzawione oczy. Bisowych owych wołań dla rzeczy błachych, drobnych, dyrektor Bilze i członkowie orkiestry zwykle słuchają ze znudzeniem, publiczność więcéj muzykalna ze wstydem, że Warszawa tak samowolnie w oczach cudzoziomców na śmieszność się naraża.

Na symfonjach prawdziwie mistrzowsko wykonywanych, gawędziarzy już znacznie mniéj, bisów prawie nigdy nie usłyszy: rozmowa jednak w dalszych miejscach toczy się bez przerwy, tylko ciszéj, przyzwoiciéj, bez wybryków hałaśliwych, jakby chciano choć powierzchownością okazać szacunek dla nieśmiertelnych utworów mistrzów nieśmiertelnych.

Raz na symfonicznym koncercie, do jednego bardzo często odwiedzającego Szwajcarską, doliną rzekłem w pauzie między częściami:

— Ostatni ustęp był prześliczny i bardzo staranie wykonany.

— Rzeczywiście, odrzekł, było w nim wiele huku i trąbienia,—można więc było swobodnie bez żadnéj przeszkody rozmawiać.

— Ależ to symfonja przerwałem, owa sławna.....

— Ej! mruknął skrzywiony, powiem ci otwarcie,

że choć przychodzę na symfonję i płacę za wejście, ale dałbym drugą dwuzłotówkę, żeby symfonji nie grano.

— Więc pocóż tu bywasz, jeżeli cię muzyka tak piękna nudzi?

— Dla gawędki, odrzekł z zadziwieniem że go mogę o to pytać, dla przypatrzenia się, ochłodzenia, wypalenia cygara, zobaczenia się z tym lub owym, ot, i koniec. Że tam muzyka huczy nic mnie to nie obchodzi, jak już nie mam co robić to popatrzę na pałeczkę Bilzego, na smyczki idące równo to na dół to w górę, ziewnę, skrzywię się i wio! do domu.

Podobnych dosyć się znajdzie i tych zupełnie nie obchodzi co i jak grają, tylko czy ogród pełny i czy znajdzie się z kim wesoło pogawędzić.

Że muzyka takich ma słuchaczy, nie ma w tem nic bardzo dziwnego, ale że podobnych mnóstwo gromadzi się na teatralne przedstawienia w ogrodach, tego sobie żadnym sposobem nie można wytłomaczyć. A mamy ich oprócz letniego teatru w Saskim ogrodzie, aż pięć prywatnych cudacznie przezwanych: Alhambra, Alkazar, Eldorado, Grenada i Tivoli, do których teraz jeszcze nowy przybył w ogródku zwanym pod Lipką. Jeżeli pogoda dopisze, każdy z nich szczególniéj w święta bywa prawie przepełniony. Według wyrachowania Kurjera Warszawskiego, znajdowało się w nich w ciągu pierwszego miesiąca do dziewięćdziesiąt tysięcy osób. Tak liczne zgromadzenie się publiczności, zdaje się dowodzić wielkiego zamiłowania do scenicznych przedstawień; jest jednak przeciwnie, bo i tu więcéj przychodzi osób dla pogawędki jak dla słuchania. Najlepiéj się to uwydatnia w ogródku Tivoli położonego w pobliżu ulicy nieznośnie trajkoczącéj przejeżdżającemi powozami. Tam też najliczniéj gromadzi się publiczność, tam każdy czując się swobodnym, niejako usprawiedliwionym że nie słucha tylko rozprawia, nawet nie stara się o przyciszanie głosu, śmieje się, dowcipkuje jak w domu, jakby oprócz jego towarzystwa nikt się więcéj w ogródku nie znajdował. W pierwszych tylko rzędach widzowie prawdziwemi są słuchaczami, i to nie wszyscy i nie zawsze,—reszta patrzy i także nie zawsze, ale co ust to prawie nigdy nie zamyka. Po co więc przychodzą na widowiska, opłacając nieraz miejsca numerowane? trudno odgadnąć.

Przyznać jednak należy, że ta część rozmawiającéj publiczności stanowi najkomiczniejszą stronę ogródkowych przedstawień. Czasami mimowoli dosłyszy jakieś urywkowe wyrażenie, dopatrzy jakieś żywsze na scenie poruszenie,—pragnąc więc dać dowód że przecie coś słyszy i widzi, natychmiast dowodzi tego głośną jakąś uwagą, lub komentarzem gry artystów dotyczącym.

— Piękniejszéj nie znam od ciebie! mówił raz artysta do artystki grającéj jego ukochaną.

— Prawda, prawda! — odezwało się kilka głosów, a ktoś z boku dodał: tylko trzebaby jéj twarz odmienić.

— Miłość moja nie ma dla ciebie granic, mówił daléj artysta, — dusza moja przejęta nią owładnęła wszystkie moje myśli, a usta jeden tylko wyraz umieją wymówić: kocham!

— Och! och! nie tak czule, odezwał się jeden z widzów, a z drugiéj strony inny dodał, bo zemdleję.

Raz artystka grająca rolę poważnéj matrony, miała list przeczytać głośno, przeznaczony dla jéj młodéj wnuczki. Ponieważ ze sztuki wypadła noc na scenie, więc przyćmiono płomienie gazowe, co naturalnie czytanie bardzo utrudniło. Artystka nie mogąc dojrzeć należycie, zaczęła mylić się, poprawiać, przysuwać list do płomieni słabo gorejących, zaraz też dał się słyszeć głos.

— Głośniéj i wyraźniéj!

— Jakże ma czytać głośno, odezwał się ktoś, kiedy ciemno na scenie.

Podobnych figielków można sie dosyć nasłuchać w każdym ogródku, a tom cały nie starczyły na ich wszystkich spisanie.

Co do gry artystów, ta bardzo jest poprawna, a niektórzy pomiędzy nimi są już tak wyrobieni, że na każdéj scenie, nawet najwięcéj wymagającéj, mogliby śmiało występować.

Dziś pobieżnie przebiegłem rozrywki letnie Warszawy, późniéj przyjrzemy się jéj duchowemu życiu, w którem nie jedną znajdziemy rzecz wielce pocieszającą.

O UBIORACH.

Teraźniejsza pora dla sprawozdań o modach i strojach, jest rzeczywiście porą głodową dla tych co zawsze pragną nowości. W żadnym magazynie nie zastanie nic gotowego, coby zwrócić mogło uwagę i warte było opisu. Przeminęły bowiem dwie wybitne pory roku, nie nadeszła trzecia, a panowie kupcy i celniejsze magazyny, dopiero zamyślają o wyjeździe za granicę po nowe zapasy. Musimy się zatem ograniczyć na kilku zaledwie sukniach, któreśmy u panien Kuhnke widzieli, jako resztki kończącéj się sutéj wyprawy, których ten renomowany zakład od lat kilkunastu, tak obficie naszym paniom corocznie dostarcza.

Suknia z materji wełnianéj lekkiéj jasno popielata. Spódnica do ziemi, od samego dołu ubrana nie bardzo namarszczonym wolantem na sześć cali szerokim, wycinanym w dość duże okrągłe zęby; nad nim szeroki blisko na pół łokcia drugi wolant, układany w fałdki jednostronne, wyżéj plisa z jedwabną wypustką trzy calowéj szerokości, i znowu takiż jak u samego dołu wolant, tylko nieco szerszy. Tunika długa stosownie do spódnicy ubrana wolantem i plisą, z boków mocno w górę zebrana, z przodu w kształcie fartuszka, również mocno przymarszczona, kaftanik z tyłu w dwie kontrafałdy ułożony miał z przodu klapeczki okrągłe. Rękawy szerokie. Pasek z kokardą z tyłu.

Druga suknia długa powłóczysta, z materji w wązkie paski koloru blado lila Ofelia. Tylne bryty spódnicy o bardzo długim trenie, krajane są jeszcze znacznie dłużéj, i dopiero nieco ku bokom mocno na zeszyciu zmarszczone w podłuż, przeszło na łokieć długości, każdy bryt dwa razy w odstępie mniéj więcéj półłokciowym, co ściągnięte w górę za pomocą sznureczka strzymuje się razem tak aby utworzyło stojącą buffę, obok któréj przyszywa się na wierzchu tuż przy pierwszéj, druga nieco mniejsza, w ten sam sposób. Te cztery buffy razem stanowią oryginalny ale bardzo ładny i kształtny puff z tyłu. Nadmienia się, że mniejsze buffy idą od boku. W samym tyle winien być pomiędzy buffami odstęp, na który spada od staniczka, karoczek w długi i dość szeroki ząb ścięty, przybrany aksamitem czarnym i falbanką wycinaną w ząbeczki. Stanik pod szyję. Rękawy szerokie rozcięte stosownie przystrojone.

Trzecia suknia balowa. Na spodnicy jedwabnéj koloru lapis, wierzchnia suknia tarlatanowa tejże barwy, mająca od dołu do koła cztery buffy, dość duże suto namarszczone, nad niemi z przodu w kształcie fartuszka w poprzeczne fałdy układana tunika oszyta do koła riuszą tarlatanową i brukselską koronką na trzy palce szeroką. Z tyłu tunika w rodzaju dworskiego płaszcza, lekko podebrana i przystrojona także riuszą i koronką. Stanik wycięty ale z karoczkiem przybranym i dość długim. Do tego róże ciemno pąsowe przy staniku i na głowę.

Krynoliny noszą się zawsze bardzo wązkie, od dołu nad falbanką dwie tylko stalki do koła się naciąga, z tyłu zaś ku bokom aż do saméj góry, takowe za pomocą stosownie urządzonego do nich gorsecika tworzą wedle woli, mniejszą lub większą turniurę od razu. Najlepsze krynoliny są z kretonu, włosiennica bowiem nietylko że się łamie, lecz nadzwyczaj drze bieliznę.

Znana fabryka kwiatów a zarazem i magazyn strojów pani Kleczéńskiéj, który dla naderumiarkowanych cen dawniéj już zalecaliśmy, przeniesiony został na Krakowskie przedmieście, naprzeciw Wystawy Obrazów, przez co się stała prawdziwa dogodność dla osób często kupujących w tym magazynie, mając go teraz w środku miasta.

Do artykułów ulegających również zmianie mody, należy niezaprzeczenie umeblowanie domu. Oglądaliśmy zatem w tym celu bogato zaopatrzony skład pana Penkali, gdzie na każde wymaganie znaleść można materjały na pokrycie mebli, portier, firanek i t. d. Zaczniemy najpierw od umeblowania sypialnego pokoju, co zwykle wchodzi w zakres bogatszéj wyprawy i do panny młodéj należy. Pokazywano nam najpierw kapy na łóżka w różnych rodzajach: rypsowe, jedwabiem przerabiane, i o skromniejszych lub wykwintniejszych deseniach, od ceny 18 do 50 rs., a w rodzaju gobelinowym do 60 rs. W bogatym apartamencie podług wymagań mody, portjery firanki a nawet czasami i pokrycie na meble, winny być z tego samego materjału. Jeżeli zaś firanki woli ktoś białe, to w takim razie lambrekiny nad niemi mają być odpowiednie, jak również przytrzymanie firanek. Toalety czyli gotowalnie ubierają się białym muślinem, w podpinane festony kokardami stosownemi. Stół od gotowalni może być pokryty muślinem, albo na białem podłożeniu, lub też kolorowem wedle upodobania. Serwety na przykrycie stołów czyli tak zwane makaty od rs. 14 do 75, ale w tańszych gatunkach znajdują się i po 5 rs. Można także robić kapy, portjery, firanki, pokrycie na meble z gładkiego rypsu, wszywając lub oszywając szlakami gobelinowéj imitacji, których łokieć można dostać od rs. 1 kop. 5 do 2 rs.

Kapy białe pikowe od 6 rs. sztuka do 12 rs. Repsy wełniane gładkie od rs. 1 kop. 25, do 2 rs. k. 10 łokieć. Repsy w pasy jedwabiem tkane: od rs. 1 k. 25 do rs. 4 kop. 50, najdroższe w atłasowe chiné pasy rs. 4 kop. 50 za łokieć. Utrechty od 2 rs. do 2 rs. kop. 50. Jedwabne materje meblowe, jako to: coteline, brocatelle i adamaszki od 3 rs. do 6 rs. łokieć. Firanki białe które się zawieszają same, lub wystające z pod kolorowych jedwabnych, albo też ozdobione odpowiedniemi lambrekinami, są w różnych gatunkach: muślinowe, tiulowe, gipiurowe na łokcie i odpasowe. Na łokcie od 25 kop. do 75 kop., odpasowane od 5 r., sr. do okna aż do 25 r. sr. Do pokoi jadalnych, kobiecych fajczarni, przedpokojów, są tańsze materjały: na obicie mebli, firanki i portjery śliczne kolorowe kretony i głansowane perkale od 33 k. do 50 k., a wszystko bardzo gustowne i odpowiednio dobrane. Do kompletnéj wyprawy należą także i tutaj się znajdują dywany przed i nad łóżka od ceny 5 do 10 rs., winny zaś być kolorem tła odpowiednie umeblowaniu pokoju.

Dywany przed kozety i kanapy od 15 rs. do 46, zaś salonowe od 50 do 150. Chodniki dywanowe od 25 kop. łokieć do rs. 1.

Bižuterje były także ciekawą dla nas rzeczą do obejrzenia, jako wyrób modzie ulegający, a nadto wyrób sztuki często z artyzmem graniczącéj. Świetne magazyny pp. Jarockich, Straussa i t. d. z taką obfitością w tym względzie się przedstawiają, że wszedłszy tam dla wybrania coś upragnionego, jest się prawdziwie w kłopocie, bo jedne piękne są drugie jeszcze piękniejsze. Nie mogliśmy się dowiedzieć co najmodniejsze obecnie, jakie klejnoty najbardziéj poszukiwane, i nic dziwnego, wszak to rzecz nie tylko gustu ale i zamożności.

Opis ryciny kolorowéj.

Fig. 1. Ubranie spacerowe.

Suknia jedwabna fijołkowa, przybrana u dołu kilkoma rzędami wąziutkich plisek czarnych lub aksamitek, między któremi naszyty szlak aksamitny, wycięty w podłużne liście. Paletocik wcinany z wązkiemi rękawami, oszyty frendzlą i szlakiem aksamitnym, lecz znacznie zmniéjszonym jak u dołu sukni. Kapelusz wiązany na szarfy fijołkowe, oszyte czarną koronką, przystrojony jest z wierzchu wielkiem piórem strusiem.

Fig. 2 Ubranie wieczorowe.

Suknia powłóczysta jedwabna koloru słomy, oszyta u dołu wolantem w kontrafałdy układanym. Z tyły puf zapięty paskiem z kokardą, ciemniéjszego koloru. Staniczek do gorsu, przybrany białemi atłasowemi ząbkami. Garnirunek sukni stanowi szeroka plisa z białego atłasu, oszyta czarną pliską i ząbkami w ciemnym dobranym do sukni kolorze, naśladująca naszyciem powłóczystą tunikę.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

A potem złożyła ręce i dodała ciszéj:

— Znalazłam, nakoniec znalazłam!...

Rzuciła się do drzwi.

— Trzeba ażeby wrócił natychmiasta! trzeba aby koniecznie wrócił!

Pociągnęłam ją do okna i wskazałam powóz, który w téj właśnie chwili znikał z przed naszych oczów na odległym zakręcie ulicy.

W pierwszych dniach po odjeździe Michała, obawiałam się o zdrowie Zeni, tak ją ostatnia rozmowa z mężem wzruszyła, tak czuła się mu wdzięczną, tak go pokochała za tę wysoką szlachetność i bezinteresowność jaką w postępowaniu z nią okazał. Dziesięć razy na dzień brała papier i pióro, aby do niego pisać, aby zakląć jego iżby do niéj wrócił, przebaczył jéj i aby zapomniał o wszystkiem co zaszło pomiędzy niemi. Ale powstrzymywałam ją zawsze od tego niewczesnego kroku, bo byłam pewną, że Michał przypisałby go pierwszemu wrażeniu Zeni, brakowi rozmysłu, jéj dobremu sercu, i że przez to krok ten pozostałby bezskutecznym, coby im obojgu nową zadało boleść.

Byłam zdania że lepiéj będzie, jeśli termin naznaczony Zeni przez męża upłynie całkowicie, i jeśli po tym upływie czasu dopiero uczyni postanowienie, z dojrzałym powzięte namysłem i objawi je mężowi.

Zenia przystała nakoniec na to moje zdanie, ale z trudnością.

Miesiąc jaki miała do przebycia wydawał się jéj wiekiem, którego kresu dojrzeć nie mogła; przywiązanie i szacunek, jakie czuła zawsze dla męża, wzrosły do potęgi najwyższego uczucia miłości, wdzięczności, uwielbienia niemal. Przyczyniło się do tego wiele wspomnienie doznanego zawodu, głęboko zraniona miłość własna, niezmierne zniechęcenie do świata w którym szukała miłych wrażeń i szczęścia, a który zawiedziona, upokorzoną, znudzoną, zmęczoną rzucił na łoże choroby.

Powoli umysł jéj uspokajać się zaczął, cała istota jéj ulegała stopniowéj zmianie, któréj dokonanie przyśpieszała wrodzona żywość jéj charakteru. Im uderzenie którego doświadczyło było silniejsze, im ostrzéj ugodziło ją ono w serce, imaginacją i miłość własną, tem reakcja stawała się prędsza i bardziéj stanowcza. Tym razem prawdziwa wdzięczność należała się od Zeni owéj *przyjaciółce do grobowéj deski*, która zaostrzyła cios i niespodzianie rzuciła go na głowę młodéj kobiety. Ale jakże większa jeszcze wdzięczność należała się od niéj człowiekowi, który wielkością swego serca i bezinteresownością swego uczucia pogodził ją z sobą, dowiódł jéj że to co posiadała już było stokroć razy lepszem niż to, za czem tak ślepo i gorączkowo goniła po świecie.

Do tego też człowieka zwracały się teraz nieustannie myśli i uczucia Zeni. Po raz pierwszy wchodziła ona w siebie. Zastanawiała się, zdawała sobie rachunek z dni upłynionych marnie.

Pewnego dnia mówiła do mnie:

— Zdaje mi się, że to co Michał mówił o związkach rodzinnych, o tem że są one ważne nietylko dla jednostek ale i dla ogółu, jest wielką prawdą. Nigdy dotąd niemyślałam o tem. Było tak zapewne dla tego, że myślałam zawsze tylko o sobie.

Naturalnie że nieszczędziłam czasu i słów, aby wyłożyć Zeni teorję jaką wyznawałam o społecznem znaczeniu rodziny, i parę godzin zeszło nam na rozmowie o tym przedmiocie. Ach! gdyby dziecię moje żyło! westchnęła Zenia i łzy błysnęły w jéj źrenicach. Gdyby dziecię moje żyło, powtórzyła, nic podobnego nie zaszłoby pomiędzy mną i Michałem. Byłam tak szczęśliwą gdy je miałam!

Matka moja obecna naszéj rozmowie i uwiadomiona przez Zenię o wszystkiem co się jéj tyczyło, uśmiechnęła się żartobliwie i powiedziała, że jest pewną widzieć Zenię za jakich lat kilka otoczoną całym wieńcem jasnowłosych główek i rumianych pyzatych twarzyczek. Na co Zenia zarumieniła się, zaśmiała, spuściła oczy, ale nie powiedziała wcale, że matka moja fałszywym jest prorokiem.

Przestała bywać w świecie i całkiem prawie opuściła światowe swe znajomości. Cały czas przepędzała z nami, i mówiła Emilce że teraz doskonale już ją rozumie, bo i sama gdy tylko z mężem odjedzie na wieś, myśli zawzięcie oddać się gospodarstwu: „aby przecie coś robić i zrobić w tem życiu.“

Im więcéj zbliżał się upragniony przez Zenię koniec miesiąca, tem stawała się weselszą i zdrowszą. Rumieniec odkwitał na jéj twarzy, siły wracały, rzeźwo i z ochotą gotowała się do wyjazdu z miasta, wynajdywała mnóstwo sposobów prędszego przepędzenia czasu dzielącego ją od dnia pożądanego, ale nie spostrzegłam aby choć raz zajrzała do księgi *Marzeń* lub *Łez*.

Pewnego dnia wyszłyśmy na przechadzkę. Słońce zachodziło za góry otaczające miasto, i ukośnemi promieńmi padało na ściany domostw i szyby okien. Ruch wielki był na ulicach. Dążyłyśmy do samotnego zamiejskiego miejsca, gdziebyśmy swobodnie użyć mogły letniéj woni i ożywczego pól powietrza. Nagle zatrzymane zostałyśmy długim szeregiem powozów zaprzężonych pocztowemi końmi, które wszystkie stanęły naprzeciw otwartych na oścież wrót kościoła. Jedna z karet pokryta była kirem i widniała zeń czarna szata kapłana, w głębi kościoła widać było wzniesiony ozdobny katafalk i mnóstwo płonących świec jarzących. Z powozów wysiadało kilkanaście osób w żałobie, a pomiędzy niemi było kilku z daleka mi znajomych. Z karety okrytéj kirem liczna służba ubrana w czarne płaszcze i białe galony z pękami różnokolorowych wstęg na ramionach, wydobyła i uniosła do kościoła bogatą trumnę, z mirtowym wieńcem złożonym na wierzchu i z napisem którego zdala niemogłyśmy wyczytać. Wszystko zapowiadało bogaty pogrzeb, mirtowy wieniec złożony na trumnie oznajmiał, że spoczywały w niéj zwłoki dziewicy. Zaciekawiały nas podróżne powozy w jakich przybył orszak pogrzebowy. Widocznie przybywał z dala, z obcych krajów może; bo kapłan towarzyszący zwłokom miał cudzoziemskie rysy, dosłyszałyśmy jak do kogoś z orszaku przemówił słów kilka po włosku. Wiedzione ciekawością sprobowałyśmy wejść do kościoła, co nie przyszło z łatwością, bo w mgnieniu oka zaległ go znaczny tłum ludu. Zdołałyśmy wprawdzie docisnąć się do wnętrza, ale o wyczytaniu nazwiska wyrytego na trumnie niemożna było ani myśleć. A jednak dziwnemu ulegałam pragnieniu wyczytania tego nazwiska. Wieniec mirtowy złożony na trumnie, cyfra lat, którąśmy dojrzały, kapłan mówiący po włosku, i twarze znajome dojrzane w orszaku, wszystko to ściskało mi serce bolesnym domysłem. Ten sam domysł musiała powziąść i Zenia, bo ściskając mi rękę ciągnęła mię naprzód i szeptała: zobaczmy, zobaczmy, czy to nie ona! Obie niewiedząc jeszcze o niczem z pewnością, miałyśmy łzy w oczach. Nie było żadnego sposobu przecisnąć się pomiędzy tłumem do środka kościoła. Musiałyśmy ograniczyć się na miejscu niedalekiem od wejścia, i obejrzałyśmy się czy niezobaczemy od kogoby powziąść żądanych objaśnień. Tuż przy nas stała niemłoda kobieta z roztropną i miłą twarzą. Zwróciłyśmy się do niéj z pytaniem:

— To jakaś bardzo bogata panna, odpowiedziała, która we Włoszech umarła z suchot. Powiadają że umierając prosiła rodziców, aby jéj zwłoki zostały przywiezione do kraju i pochowane w rodzinnem jéj miejscu. Otóż rodzice wiozą je teraz do dóbr swoich i złożono tu trumnę tylko na noc, bo tak późnym wieczorom nie chcą puszczać się w dalszą podróż. Panna miała liczną i bogatą familję, wielki posag i powiadają że bardzo była piękną.

— A nie wiesz pani jak się nazywała? spytała Zenia drżącym głosem.

— Nie wiem, odrzekła kobieta. Nie mogłam wyczytać nazwiska.

— Panna Helena X. ozwał się tuż obok nas głos męzki, pochodzący od służącego udekorowanego białemi galonami i różnokolorowemi wstęgami, którzy stojąc blisko posłyszał pytanie Zeni i pospieszył dać żądane objaśnienie.

Wkoło trumny słychać było płacz stłumiony, może z piersi matki wychodzący... pod sklepienia kościelne unosiły się chóralne żałobne śpiewy kapłanów, dymy palonych kadzideł, żółte światło świec migotało nad mirtowym wieńcem.....

Przed oczami memi stała śliczna towarzyszka méj młodości, ze swą wiotką postacią, bladą twarzą o rysach cudownie przez naturę wyrzeźbionych, z głębokiém spojrzeniem szafirowych oczu, z zapowiedzią wczesnéj śmierci migocącéj na dnie źrenic. Zdawało mi się, że jak przed kilku laty słyszałam jéj opowiadanie o swojéj „pogoni za ideałami” w któréj życie kropla po kropli ustępowało z jéj piersi; i jak pochylając w zadumie myślące swe czoło, różanemi ustami szeptała: „a jednak zdaje mi się żeśmy do czego innego stworzone.”

Z ciężkiemi myślami wyszłyśmy z kościoła, i porzuciwszy zamiar przechadzki smutne weszłyśmy do mieszkania Zeni. Połowa wieczoru zeszła nam na rozmowie o biednéj Helenie, na wspominaniu różnych chwil jakie z nią przepędziłyśmy niegdyś. Zenia była tak poważnie i rzewnie nastrojona jak nigdy.

— Kto wie? rzekła w zamyśleniu, żebym dalej prowadziła podobny sposób życia. jak przez te kilka

lat ostatnich, możeby i mnie spotkała taka śmierć wczesna.

— Być może, odrzekłam, i zdaje mi się że niedaleko byłaś już od tego. A jednak nie Helena to z nas najnieszczęśliwsza... Zenia odgadła myśl moją. Obie jednoczeście pomyślałyśmy o Zofji i wymówiłyśmy jéj imię. Czyli i tamta umarłą nie była, lecz srożéj stokroć bo za życia, w młodości kwiecie.

— Okropność! Wacławo! zawołała nagle Zenia, obie ręce podnosząc do czoła, gdy pomyślę że gdyby Michał nie był tak szlachetnym, nie kochał mię tak poczciwie i nieograniczenie, możeby i mój los podobnym był do losu Zofji... o, gdy pomyślę o tem...

Zatrzymała się blada i drżąca, ale oczy jéj obok przestrachu jaki w niéj ta myśl wzbudzała, błyszczały niewymownem poczuciem szczęścia.

— Gdy pomyślisz o tem? spytałam zwolna patrząc w jéj oczy, to cóż?

— To czuję się uniesiona radością, że się już skończył ten miesiąc nieznośny, i że mam już prawo napisać do niego: przyjedź abym ci powiedzieć mogła, jak kocham cię i jak ci wdzięczną jestem.

Zaledwie to wymówiła, porwała się z miejsca, pobiegła do biórka i zaczęła pisać list do męża. Pisząc śmiała się i płakała, darła zapisane ćwiartki papieru jedną po drugiéj. W końcu rzuciła pióro. Jak ja mu to napiszę! zawołała prawie z płaczem. Nie mam wyrazów... trzeba napisać tak aby mi uwierzył, aby co prędzéj przyjechał.

— Napisz mu to, rzekłam, co przed chwilą powiedziałaś, co było wyrazem prosto z twego serca wyszłym!

Zenia nakreśliła kilka słów na papierze i przeczytała głośno: „przyjedź abym ci powiedzieć mogła jak kocham cię i jak ci wdzięczną jestem.“

Po zapieczętowaniu i odesłaniu listu sztafetą, Zenia rzuciła się w moje objęcia i powiedziała mi tysiąc rzeczy, które mię przekonały, że los jéj został na zawsze roztrzygnięty, i że serce jéj zawieszone dotąd na promieniu księżyca, stanowczo już dostało się Michałowi. Ale ta czuła scena zaszła pomiędzy nami i oświetlona płomieniem palących się na kominku ksiąg *Marzeń* i *Łez*, niczem była w porównaniu z tą, jaka nastąpiła nazajutrz pomiędzy małżonkami, gdy Michał w podróżnem ubraniu wbiegł raczéj niż wszedł do buduaru Zeni, i płaczącą z radości przycisnął do swéj rzewnéj, zacnéj piersi.

XXIV.

Lato zbliżało się ku końcowi. Nie było już w W. Zeni, nie było i moich ukochanych uczennic. Dwa miesiące czasu zostawało mi do objęcia nowych zajęć, miesiące w których nie miałam mieć żadnych obowiązkowych zatrudnień.

Każdy kto przez czas długi oddawał się pilnym, systematycznym zajęciom i wytwarzał niemi sobie warunki bytu fizycznego i moralnego pojmuje jak silne wstrząśnienie sprowadza nagłe urwanie się téj jednostajnéj codziennéj przędzy życia. Budząc się zrana, człowiek ze zdumieniem pogląda na godziny dnia, nie wiedząc sam coby z niemi począć, a potem gdy słońce wzniesie się ku południowemu punktowi horyzontu, i zwolna spływać zacznie po pochyłości do zachodu wiodącéj, tęskni nie ledwie za tym ciężarem, który przez tyle dni, miesięcy, lat dźwigał na barkach swoich, przeciwko któremu buntował się może nieraz w złych chwilach zmęczenia i tęsknoty za czem innem, ale z którym nakoniec zrósł się aż do ukochania go, aż do tak ścisłego z nim zjednoczenia się, że pozbawiony swego surowego i dokuczliwego towarzysza, sam już nie wie kędy ma stąpić i w którą stronę zwrócić wątek myśli, nawykłéj jednostajnym postępować torem.

Wtedy chcąc nie chcąc człowiek zwraca się do samego siebie i z samym sobą przebywać zaczyna. Ponieważ głos zegara wybijającego z kolei różne dnia godziny, nie wzywa go tam gdzie nawykł był chodzić, zostaje z samym sobą, w towarzystwie własnego serca, własnych myśli które zrazu nieśmiało wydobywają się na swobodę, aż stopniowo rozwiną skrzydła i szparkim lotem puszczą się tam, kędy zdawało się, że nigdy już wznieść się nie miały.

I człowiek ogląda się na tę długę galerję jednostajnych obrazów jaką przebył, a przed nim zjawia się szereg obrazów innych, coraz świetlejszemi malowanych kolorami, na które nie chciał patrzeć, gdy sam był w téj długiéj jednostajnéj galerji, ale które mu przecie dobrze znajome, bo tęsknił za niemi w cichości serca, bo je przeczuwał, bo śnił o nich w tych nocnych godzinach, gdy obowiązek ukryty w pomrokach nocy, czuwał przy nim, aby zrana obudzić go i senne jego oczy otworzyć znowu do rzeczywistości niezbłaganéj.

Ale za temi światłemi obrazami, w które z rozkoszą wpatruje się myśl uswobodzona z pęt długoletnich, widnieje znowu taka sama jak ta którą przebył, galerja długa i jednostajna. Wrota jéj otwarte; jeszcze chwila a świetlne obrazy usuną się znowu w snów dziedzinę i obowiązek ujmie za rękę człowieka, aby wprowadzać go tam, kędy on stąpać powinien, odwracając głowę powoli, z trudem, z zapomnieniem o sobie, daléj i ciągle daléj, aż do téj chwili w któréj kończy się szereg wszelkich obrazów tego życia...

Przez lat kilka pracując ciężko i nieustannie, poczuwałam rodzaj przykrego niemal zdziwienia na widok dni, z któremi mogłam czynić co mi się podobało. Nie czułam jednak pustki w życiu, bo mi ją zapełniały te świetlne obrazy, które wnet obstąpiły mię rojem, barwy swe rozpościerając: i na błękitnem pogodą letnią niebie, i na białych ścianach mego pokoju, i w głębokich nurtach wartkiéj rzeki, i na szczytach gór złocisto pomalowanych słońcem, i w przezroczystéj atmosferze przerznię̇téj smugami oślepiającego światła, i na żaglach obłoków białych rozpostartych w górze, i w snopach księżycowych promieni drgających po uroczem kwieciu ogródka, i w migotaniu gwiazd złotych zaglądających mi w oczy gdym usypiała.

Gdy zajęta dobrem i szczęściem ukochanych mojich, obarczona pracą, któréj zdjąć z siebie nie miałam prawa ani na chwilę, zatapiałam się cała w rozważaniu treści ksiąg stosami wokoło mnie leżących, i umysłów młodych co obok mnie wzrastały, byłam pewna, że nigdy już nie będę się zatrzymywała nad brzegiem rzeki szumiącéj, aby długo, długo patrzeć na jéj fale w niezmordowanym płynące biegu, i zapytywać je co widzą w swéj podróży, co posiadają na dnie, co unoszą ze sobą, co mówią łagodnym szeptem swym wtedy, gdy wszystko koło nich senne i marzące, i tylko gwiazdy niebieskie czuwają i przeglądają się w nich jak dziewice w zwierciedle. A jednak teraz stawałam nad brzegiem rzeki, i patrzyłam, i pytałam. Byłam pewna, że o późnéj godzinie wieczoru, nigdy nie usiądę na progu domu, aby wznieść oczy pod głębokie sklepienie firmamentu, i przypatrywać się jak na bladym księżycu, prządki zefiry snują pajęczyny srebrnych chmurek, jak się te pajęczyny rwą i rozpryskają, w różne układając kształty, to aniołów o szatach srebrem przetykanych, to gołębic śnieżnych, to rycerzy w przyłbicach ze złota i stali, to dziewic rozpłakanych z załamanemi rękami i rozpuszczonym srebrzystym warkoczem długim tak długim, że aż nim sobie przysłaniaiy oblicze dwie gwiazdy sąsiednie.

A jednak siadywałam teraz na progu domu, patrząc na fantastyczne przędzę obłoków i zefirów.

Byłam pewna, że nigdy już tęsknem okiem ścigać nie będę gromady ptaków szybujących w przestrzeni, i rozmarzoną myślą nigdy ich nie poproszę, aby mi pożyczały skrzydeł swoich, albo wzięły mię pomiędzy siebie i zaniosły gdzieś daleko w nieznaną krainę, o któréj marzyłam niegdyś młodziuchnem będąc dziewczęciem, o któréj marzyć zabroniłam sobie stawszy się kobietą, lecz od któréj woń zalatywała do mnie niekiedy, jak gość natrętny a zarazem czarowny.

A jednak patrzyłam teraz na ptaki wędrowne i zazdrościłam im szerokiego polotu ich skrzydeł.

Byłam pewna, że nigdy już nie zejdę do ogródka, aby tam narwać pęk kwiatów różowych i białych, i nie pójdę do zwierciadła, aby ustroić się w te kwiaty, i uśmiechnąć się na widok że jestem piękna w tym stroju, i westchnąć potem sama nie wiedząc dobrze czemu, i zamyślić się i uśmiechnąć się raz jeszcze, i westchnąć znowu, i ręką ciężką powyjmować kwiaty z warkoczów, a potem patrzeć na nie jak więdną smutnie, i w głębi w dalekiéj głębi serca myśleć: i ja uwiędnę tak samo!

A jednak teraz rwałam kwiaty, stroiłam się w nie, i wyjmowałam je z warkoczy, i łza mimowolna stazała się na uśmiechnięte moje usta.

Byłam pewna, że gdy wyobraźnia na swem kapryśnem skrzydle przyniesie mi obraz babki Ludgardy, ze zwiędłą twarzą, pooranem czołem, zagasłym wzrokiem i ustami szepczącemi wyrazy nieprzepłakanéj nigdy tęsknoty, na obraz ten potrafię zawsze śmiało spójrzeć, jak na zapowiedź własnéj mojéj przyszłości, i bez drgnienia powieki patrząc nań wyrzec z uśmiechem: i ze mną będzie tak samo!

A jednak teraz gdy patrząc w źwierciadło, zamiast własnéj postaci i twarzy, widziałam tę postać, to lice osmucone więcéj życiem chybionem jak nadchodzącą mogiłą, zakrywałam oczy dłońmi, i nie śmiałam, nie śmiałam powiedzieć sobie: i ze mną będzie tak samo!

Aż nadszedł pewien wieczór ciepły, wonny, wieczór podobny do wszystkich innych letnich wieczorów. Jakże daleko byłam od myśli, że zaznaczy się on w mojem życiu nigdy nie zatartem wspomnieniem, i rozpocznie dla mnie cały szereg dni, miesięcy i lat takich, o jakich marzyłam i marzyć wzbraniałam sobie.

W domu cicho było. Matka moja i Binia wyszły na przechadzkę czy gdzieś w sąsiedztwo, nie pomnę; ja siedziałam z Emilką w altance, urządzonéj tuż pod ścianą domu, i przez liście dzikiego winogradu zamyślonym wzrokiem patrzyłam na gniazdko drobnego ptaszęcia, usłane w rozłożystym krzaku bzu tuż prawie nad mojem ramieniem. Emilka milczała także, błękitne oczy jéj lśniły śród zmroku łagodnym ogniem jaki w nich zawsze płonął, i przechodziły od kwiatów rosnących u jéj stóp do nieba przeglądającego przez ażurową zasłonę liści, posłuszne zapewne jéj myślom, które coraz więcéj odrywały się od ziemi i wszystkich jéj ozdób i obietnic.

Nagle tuż przy nas, i nieco tylko nad naszemi głowami, otworzyło się okno i wyjrzały przez nie dwie

twarze promieniejące śród zmroku blaskiem rozlanego na nich szczęścia. Była to; Madzia, i Franuś: zaręczeni z sobą oddawna i pobłogosławieni listownie przez ojca Madzi, a czekający tylko jego powrotu, aby podać sobie ręce u ślubnego ołtarza.

Młoda dziewica białą ręką uchyliła wpół przysłaniającą ją firankę, i pełną piersią zaczerpnąwszy wonnego powietrza, wymówiła półgłosem:

— Jaki cudowny wieczór!

— Cudowny! powtórzył Franuś głosem, w którym drżały wszystkie zachwyty serca przepełnionego miłością, i nadzieją, i widziałam jak ująwszy rękę narzeczonéj poniósł ją do ust. Na czarne warkocze dziewczyny upadło parę promieni wypływającego z za chmur księżyca, i oświetliło śliczny rumieniec wstydu i szczęścia, jaki okrasił jéj białe lica.

Czyś ty szczęśliwa, Matyldo? wymówił znowu ten sam głos czuły i miękki, a na dnie drżący energją i siłą męzkiéj piersi. Nastąpiła chwila milczenia, w któréj czarne oczy dziewicy podniosły się w górę i zapałały całe połączonemi płomieńmi wdzięczności dla nieba i miłości ziemskiéj. Otworzyła koralowe usta i szepnęła:

— O jam szczęśliwa!

Ręce ich były splecione i głowy przybliżone do siebie. Rozmawiali cicho ale nie tak cicho, aby słowa ich nie przypływały do moich uszu, niesione łagodnem skrzydłem wietrzyka szeleszczącego pomiędzy liśćmi bzu i winogradu.

Mówili o szczęściu swem przyszłem, o cichym domku w którym zamieszkają razem, o ojcu który wróci i zamieszka z nimi, o biednéj siostrze którą przytulą do siebie aby na ich kochającéj piersi odetchnęła po burzach i cierpieniach swego życia, o pracy wspólnéj jaką prowadzić będą na łonie miłości i domowego spokoju, o tem niebie jakie na nich tak łaskawem było, o téj ziemi na któréj im żyć tak dobrze,—o wszystkiem nakoniec co miało się złożyć na tkaninę tego ich życia, do któréj przędza snuła się z serc ich rozkochanych jak z brylantami sadzonego wrzeciona wieszczki.

Spojrzałam na Emilkę. Nie zmieniła postawy, tylko twarz oparła na dłoni, i wodziła ciągle wzrokiem po wysoko zawieszonych liściach i przez nie przeglądającem niebie, a ani razu nie spuściła go już ku ziemi i nie spojrzała na kwiaty u stóp jéj rosnące. Daremnie patrzyłam na tę twarz łagodną i spokojną, nie widziałam w niéj cierpienia. Cicha pogoda leżała na jéj bladem czole, miłym blaskiem świeciła w oczach, a tylko w uśmiechu który okrążał usta, było niby wspomnienie żalów już przebytych i przepłakanych.

Położyłam rękę na jéj ramieniu. Emilko! rzekłam stłumionym głosem, i ty nie cierpisz?...

Zwróciła na mnie wzrok zamyślony, potrząsnęła głową i odrzekła: nie!

— Jakto? pytałam jeszcze, wszakże go kochałaś?

— Tak, odpowiedziała szeptem łagodnym, ale już dawno wyrzekłam się myśli o téj miłości, i pragnę teraz tylko tego aby oni byli szczęśliwi!

Rzekłszy to znowu wzrok podniosła w górę, a wyraz niewypowiedzianéj dobroci, poddania się, mężnego pogodzenia się ze swym losem, niezmąconego spokoju duszy czystéj, oblał jéj twarz świętym niemal blaskiem.

W téj chwili, nad głowami naszemi ozwał się znowu głos męzki, przepełniony tkliwością i energiją uczucia:

— Czyś ty szczęśliwa, Matyldo?

— O, jam szczęśliwa! odpowiedziały mu różane usta pięknéj narzeczonéj. Pochyliłam głowę na dłonie i poczułam w sobie wstyd wielki. Ja nie mogłam jeszcze wyrzec się jak Emilka! moje serce drżało całe na widok tego szczęścia, które szeptało nad moją głową dwojgiem ust rozkochanych...

Nie mogłam jeszcze, tak jak Emilka, oderwać oczu na zawsze od ziemi i z poddaniem się utkwić je w niebiosach... Marzenie mojéj młodości podniosło się we mnie jak fala wód poruszona gorącym wiatrem, i napełniło moją pierś cichym płaczem...

Zakryłam twarz dłońmi i czułam jak łzy rzęsiste przeciskały się przez moje palce... Chwilami zdawało mi się, że z za łez obsłony widnieje przedemną czarna szata babki Ludgardy, i pokrywa sobą dwie gwiazdy co naprzeciw mnie świeciły, a głos jéj stłumiony całem życiem tęsknoty, smutne słowa jéj wymawiane nad brzegiem mogiły, splatały się w mem uchu z szeptem narzeczonych, niby szary obraz mojéj przyszłości połączony ze świątłym obrazem ich doli...

Płakałam, i zaledwie czułam jak miękkie ramię przyjaciółki otoczyło moją szyję, i twarz jéj przytuliła się do mojéj twarzy... Wstydziłam się saméj siebie i płakałam. .

Nagle skrzypnęły wrota ogródka, męzkie stąpania ozwały się na zwirowanéj ścieżce.

— Ktoś nadchodzi! szepnęła Emilka.

Przestraszona myślą iż ktokolwiek obcy łzy moje zobaczy, odjęłam ręce od oczu i poskoczyłam z miejsca, ale zaledwie stanęłam u wyjścia z altany, tam kędy gałęzie winogrodu osrebrzone światłem księżyca, w malowniczych splotach opadły mi na suknię i głowę, stanęłam jak wryta, i okrzyk mimowolny, okrzyk w którego dźwięku mieścić się musiało mnóstwo różnych uczuć, wydarł się z mojéj piersi. Przedemmną stał człowiek snów, marzeń i przeczuć moich... Usłyszawszy krzyk jaki wydałam, stał przez chwilę z lekkiem zdumieniem na twarzy, potem głębokie jak morze spójrzenie jego błysnęło radością niezmierną, wziął moją rękę i poniósł ją do ust...

Mamże opowiadać treść dni i wieczorów jakie nastąpiły potem? Była to jedna smuga czystego światła, które na dwoje przerznęła moje życie, a na drugą jego połowę rzuciła łunę nieskończonego szczęścia.

Zdawało nam się, że znajomość nasza była bardzo dawna, i nie mogliśmy nawet przypomnieć sobie czasu, w którym byliśmy sobie nieznani; każde z nas sprawdzało dla drugiego najtajniejsze przeczucia serca i najgorętsze marzenia umysłu. Nie pojmowaliśmy jak można było tak długo obywać się bez siebie, a jednak z radością i dumą oglądaliśmy się na przeszłość, którą każde z nas przebyło z osobna, bo dawała nam ona rękojmię żeśmy wzajemnie zasłużyli na siebie. A jednak żadne z nas nie wyraziło tego wszystkiego w słowach, ale twarze nasze wzruszone, były otwartemi księgami wktórych oboje czytaliśmy wyraźnie i z zachwyceniem.

Wszystko co żyło na niebie i na ziemi, służyło nam za symbole i litery do wyrażania uczuć naszych: każde słowo jakie wychodziło z ust moich lub jego, zawiązywało między nami coraz nowy węzeł; każda minuta spędzona razem wzmacniała w nas przekonanie, że jednostajnie czujemy i myślimy, i dawała nam przedświt i przeczucie, że jedną drogą odtąd podąży wspólne istnienie nasze ku wspólnemu końcowi...

Znowu zaprzestałam siadywać wieczorami na progu domu i przypatrywać się, jak zefiry przędą z białych obłoków różne napowietrzne kształty, ale to dla tego, że siadywałam z nim u otwartego okna, i przypatrywałam się z rozkoszą w jak piękne zarysy silny duch człowieczy urabia szlachetne człowieka oblicze.

I zaprzestałam także wędrownym ptakom zazdrościć ich skrzydeł szybkonośnych, bo zdawało mi się, że mnie saméj urosły skrzydła u ramion, i że potrzebuję tylko zapragnąć aby pożeglować na nich w zaczarowaną szczęścia krainę.

Każdego ranka zstępowałam do ogródka, i z pękiem narwanych kwiatów stawałam przed źwierciadłem, aby sobie niemi ustroić warkocze. Ale już ich potem nie zdejmowałam ciężką ręką, bo wnet szłam ku oknu i patrzyłam na drogę, kędy codziennie przybywało do mnie szczęście moje. A kiedy wyobraźnia na swem kapryśnem skrzydle przynosiła mi obraz babki Ludgardy, patrzyłam na zwiędłe jéj lice, poorane czoło i usta wybladłe od tęsknoty, lecz nie mówiąc już sobie z drżeniem „i zemną będzie tak samo!” podnosiłam oczy ku górze i błagałam téj siły, najwyższéj, która kieruje wichrami niebios i losami ludzkiemi, aby siostrom moim wszystkim biednym, zmęczonym, samotnym, tęskniącym, wszystkim siostrom moim co tak jak ja długo w gorących sercach nosiły iskry marzenia i kładły na nie przytłumiającą dłoń obowiązku i pracy, podarowała dolę promienną, mojéj podobną.

Nie pamiętam ile dni, tygodni trwało to milczące rozkwitanie uczuć naszych, ale pamiętam dobrze pewien wieczór cichy, pogodny z purpurowym pasem na zachodzie, ze złocistemi szczytami gór podnoszącemi się po nad dachy domostw skromnych, z odległym szmerem rzeki błękitnéj i sklepieniem niebios tak czystem, jakby przesunęły się po niem wszystkie skrzydła Aniołów, aby najmniejszéj chmurki ni pyłu ziarenka nie pozostawić na drodze wysokiéj, którą płynęły za nieskończoność spojrzenia oczu naszych.

Siedzieliśmy we dwoje u otwartego okna. W pokoju nikogo więcéj nie było. Patrzyliśmy na siebie i nie mówiliśmy nic. Pod oknem, w krzaku bzowym świegotała drobna ptaszyna śpiewając może do snu dziatkom swoim. Liście winogradu poruszały się cichym szeptem... Nagle przestałam słuchać świegotu ptaszka i szmeru liści... on mówił do mnie. Zadrżałam... wziął moją rękę. Patrzyłam na purpurowy pas który legł na niebie nad złotemi gór czołami, i słuchałam tego co on mówił do mnie.

Czy mówił że mnie kocha?

Nie.

Czy prosił o moją rękę.

Nie.

Po cóż miał o tem mówić, gdy czuł że wiedziałam, iż jedno już się stało a drugie wnet przyjdzie.

Oto, opowiadał on historyę swego serca.

Opowiadał mi historyę serca, które całe oddane wielkim rzeczom i sprawom, całe rozgorzałe miłością dla idei stojącéj przed nim jako cel najwyższy życia, zapomniało było długo o tem, że jest sercem ludzkiem i że drugiego potrzebuje serca na radość sobie i ulżenie w trudach. Nagle na widok pewnéj młodéj dzieweczki w balowe przybranéj szaty, serce to uderzyło żywiej, i zdawało mu się, że ujrzało w jéj oczach, usłyszało w słowach coś, co mu sprawiało rozkosz nieznaną, o czem kiedyś śniło w m-rzeniach tłumionych żelazną dłonią pracy i obowią:-ku. Ale dzieweczka ta wydawała się płochą jak ptaszę, lecącą ku światu jak motyl ku światłu. I wszystko zniknęło! Serce męzkie, serce silne wzruszone przez chwilę, utonęło znów całkiem w miłości dla wielkich spraw i wielkich obowiązków. Ale dzieweczka

płocha wyrosła na kobietę, motyl skąpany w mętnym płomieniu świata, otrząsnął skrzydła błyszczących a niezdrowych jego pyłów, i zawisł odważnie na promieniu poświęcenia się i szlachetnych miłości. Wtedy.....

— Wtedy? spytałam ze drżeniem w głosie, nie śmiejąc oderwać oczu od purpurowego pasa na niebie i złocistych gór szczytów.

— Wtedy, kończył, serce moje patrzyło na ciebie ciągle z za mórz i lądów, i przyglądało się wzrostowi twemu, i wierzyło mocno, że lubo upłyną miesiące i lata, ono w twojem sercu wzajemny oddźwięk znajdzie...

— Znalazło, odpowiedziały oczy moje wpatrzone w złoto i purpurę niebios, bo usta nic mówić nie mogły.

— Tak, znalazło, wyrzekł on rozumiejąc mowę oczu moich; usłyszało oddźwięk ten w okrzyku co wyrwał się z piersi twoiej, i odtąd głos jego wewnętrzny mówi mu ciągle; ponieważ stanęła na jednej z tobą drodze, ponieważ zamieszkała ten sam świat w którym ty mieszkanie sobie obrałaś, oto jest przyszła, przeznaczona, ukochana towarzyszka życia twego! Jeśliś kiedy cokolwiek dobrego uczynił na ziemi, oto nadroga twoja! Jeśli ci jeszcze cóś do uczynienia zostaje, oto twoja pomocnica! Jeśli cierpieć będziesz! oto twoja pociecha! Jeśli się zachwiejesz kiedy, oto twe wsparcie! Jeśli radości pragniesz nieskończonych, oto twe szczęście! Oto kobieta, która na dolę i niedolę, na trudy i uciechy, na życie i na śmierć, stanie u boku twego, abyście sobą sprawdzili doskonały ideał miłości i rodziny, aby z białych pomników wielkich przodków twoich, spływały na was promienne błogosławieństwa tych, co legli w mogile, wam zostawiając spuściznę cnot swych i świętéj swéj ziemi!....

Ciche powiewy wietrzyków letnich igrając z liśćmi bzów i winogradu, uniosły w przestrzeń ostatnie słowa ukochanego mego, które się w cichym dokończyły szepcie!

Pas purpurowy zsunął się z za gór, mrok zstąpił na ziemię, i poważną, w gwiazdy strojną oponą objął dwoje zakochanych, zachwyconych..."

XXV

— Nagle, w sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki pospieszne. Drgnęłam jak zbudzona ze snu rozkosznego; przedemną z lampą w jednym ręku, a listem otwartym w drugim, stała Madzia. Po zarumienionéj jéj twarzy i łzie co drżała na rzęsie zrozumiałam, że cóś niezwyczajnego stać się musiało. Wzięłam list który mi podawała, rzuciłam nań okiem i poznałam pisano Rozalji.

Zawierało ono następne słowa

„Nie mogę powiedzieć, abym posiadała serce bardzo tkliwe, albo była wzorem wszystkich cnót chrześcijańskich; doprawdy, nie mogę tego powiedzieć. Taką jednak jaką jestem, nie czuję w sobie wcale godnéj zazdrości mocy opierania się woli umierających. Jest to moc, którą posiadać mogą bardzo silne i wytrwałe charaktery, a ja byłam zawsze słabą i wytrwałą tylko w tem, co mi przynosiło nieszczęście. Starałam się nawet korzystać z przykładu téj mocy charakteru, jaki miałam ciągle przed oczami, alem nie mogła przezwyciężyć mojéj słabości. Przykro mi to, ale cóż robić, skoro nie mogłam stać się aż tak silną, żeby teraz z mocą charakteru godną zazdrości, opierać się woli osoby umierającéj.

„Babka Hortensja od kilku tygodni chora, wszelkiemi oznakami jakie osoba umierająca dać jest w stanie, objawia życzenie zobaczenia się z kuzynką Wacławą i jéj matką. Są tu osoby, które życzenie to uważają za ostatni kaprys kapryśnéj kobiety i ostatni wybuch woli, która doprawdy była kiedyś bardzo silną, ale oddawna już gasnąć zaczęła.

„Osoby te powiadają, że nic ich nie zobowiązuje do tego, aby dla zadowolenia jakiegoś tam ostatniego kaprysu i jakiejś tam ostatniéj woli, miały tak dalece się fatygować, żeby aż brać pióro do ręki i nakreślić niem kilka wyrazów. Powiadają one, że to wcale niepotrzebne, a w końcu mogłoby nawet być niebezpieczne z powodu wzruszenia, które jak wiadomo przyśpiesza niekiedy śmierć osoby umierającéj.

„Co do mnie, jestem jeszcze dość młodą aby nie lękać się fatygi napisania kilku wyrazów, a zanadto mam niepochlebne wyobrażenie o rozkoszach tego życia, abym przez obawę ujęcia kilku chwil jego, osobie umierającéj miała odbierać jéj ostatnią radość, jakiéj doświadczyć może na widok osób z któremi widzieć się pragnie.

„Nie powiem tego abym szalenie kochała babkę Hortensję, i abym jéj była bardzo wdzięczną za to co dla mnie uczyniła, a więcéj jeszcze za to czego uczynić nie chciała. Ale w czasie długich nocy, jakie przepędziłam czuwając nad jéj śmiertelnem łożem, słabość mego charakteru sprawiła, że zapomniałam o wszystkiém prócz o tem iż była moją krewną, kobietą starą, i nikt pewnie oprócz mnie nie wie jak przez kilka ostatnich lat nieszczęśliwą.

„Był to zapewne także skutek słabości mego charakteru, ale poczułam, że nieraz przeciwko niéj zawiniłam i słowem i myślą, a gdy przy świetle nocnéj lampy patrzyłam na jéj twarz, Bóg tylko wie jak zmienioną, uklękłam przy jéj łożu i przyrzekłam jéj, że ostatnia jéj wola spełnioną będzie.

„Są tu pewne osoby, które mi nigdy nie przebaczą gdy się o tem dowiedzą, ale, mój Boże! ja tak przywykłam do tego że nikt mi nie przebaczał, a co prawda i sama nie łatwo przebaczałam drugim. Wet za wet przeto. Tak zawsze na świecie.

„Kto wie? może mi za to Bóg choć jeden dzień mego dziwacznego życia przebaczy.

Powiedz więc kochana siostro, kuzynce Wacławie i jéj matce, aby przyjeżdżały do Rodowa, jeśli nie posiadają téj godnéj zazdrości mocy charakteru, która czyni człowieka zdolnym do opierania się woli umierających. A niech się śpieszą, bo paraliż z szybkością niesłychaną obejmuje w swoje władanie biedne ciało naszéj babki, i gdy się spóźnią może nie będzie już miała wzroku do zobaczenia ich, słuchu do usłyszenia ich mowy, i głosu do powiedzenia im tego, co może tkwi w niespokojnych lubo gasnących jéj oczach, i odzywa się w jękach jakie wydaje pierś jéj już nawpół bezwładna."

Przebiegłszy oczami list ten, stałam długo jakby gromem rożona. Po rozkosznéj godzinie jaką przeżyłam przed chwilą, po tych słowach czarownych szeptanych mi do ucha ukochanemi ustami, ta wieść o śmierci, te wyrazy Rozalji tak wydatnie malujące dziwną naturę téj przewrotnéj dziewczyny, legły przedemną jak pas grubych ciemności przerzynający tę szeroką smugę promienistego światła, na któréj przed chwilą postawiłam stopę, sądząc że na niéj popłynę już bez przerwy w nieskończone przestrzenie wiekuistego szczęścia. Trzeba się było jednak obudzić i wytrzeźwić. Cała nasza gromadka zebrała się wkrótce około stołu, na którym pod światłem lampy leżała ćwiartka papieru zakreślona bujnem, kapryśnem, niecierpliwem i nierównem pismem Rozalji.

Matka moja była pogrążona w szczerym i głębokim żalu. Lata dzieciństwa i pierwszéj młodości jakie spędziła przy babce Hortensji, jako przy jedynéj swéj opiekunce przyszły jéj na pamięć, i dziś przedstawiając sobie tę starą, dumną i tak twardą niegdyś kobietę, złożoną na łożu boleści i śmierci, zapomniała o wszystkiem co ją kiedyś z nią rozdzieliło, i pochyliła twarz na dłonie płacząc szlachetnemi łzami przebaczenia i litości. Widząc ten jéj smutek, czując całą powagę jaką chwila ta miała dla niéj, nie uznałam za stosowne oznajmiać jéj wieść weselną, jaką w sercu swem nosiłam. Odłożyłam to na późniéj, aby osobistą radością i nadzieją nie ubliżać obrazowi śmierci, jaki wkrótce miał się przedstawić naszym oczom.

Nazajutrz jak najraniéj puściłyśmy się w podróż, a towarzyszył nam ten którego w cichości serca nazywałam narzeczonym moim, lubo otaczający nas ludzie nie wiedzieli jeszcze o tem imieniu, które nas już na zawsze łączyło z sobą. Emilka nie chciała nas odstąpić i jechała z nami, Madzia została w domu z Binią, bo niedawno otrzymała była list od ojca, w którym naznaczał bardzo bliski dzień przybycia swego do W., a oprócz tego obawiała się w zamięszaniu jakie śmierć sprawia zwykle w domu w którym zagości, ujrzeć matkę o któréj wiedziała że jest dla niéj nieprzebłaganą.

Tak tedy przy schyłku dnia jesiennego, ujrzałam znowu ową piękną dolinę wieńcem wzgórz otoczoną, rzeką szarą i bystrą przerznięta, ze starożytnym dworcem pośrodku, zdala świecącym białemi ścianami murów, pąsową blachą dachów i całym przepychem odwiecznych parków i ogrodów.

Znowu na ganek wielkiego starego domu wyszedł na spotkanie nasze olbrzymiéj postawy kamerdyner méj babki, przybrany w czarną ze srebrem liberję, ale tym razem poczciwy sługa który tu całe życie swe przebył, i którego włosy pobielały razem z włosami jego pani co umierała teraz, miał łzę na oku i ramię jego drżało, gdy pomagał nam wysiadać z pocztowego powozu.

W wielkich pokojach cisza panowała grobowa. Z sali jadalnéj widać było przez drzwi nawpół otwarte liczną służbę zebraną w przedpokoju, ale wszyscy tam trzymali się w kupce, milczeli, z pospuszczanemi głowami, albo szeptali z sobą pocichu, a na każdéj twarzy malowało się wzruszenie ważny dla domu zwiastując wypadek. Przechodząc, rzuciłam okiem na tę gruppę skupioną i cichą, i uważałam że nie tyle tam było żalu ile przestrachu jaki zwykle przynosi sobą widok śmierci mianowicie dla dusz prostych i nie filozofujących wcale. Na niektórych twarzach malowało się nawet głębokie zdziwienie. Może ludzie ci, podwładni babki mojéj, przez lat wiele przywykłszy widzieć ją wiecznie dumną, wyniosłą, wypostowaną, sądzili że jest ona także nieśmiertelną i ze zdumieniem widzieli, iż śmierć taką nawet pyszną i nieugiętą dosięgła głowę.

Bawialny salon więcéj niż kiedy wyglądał teraz na mroczną i szczelnie zamkniętą szufladę. Wyglądał on nawet teraz na szufladę, służącą za skład dla podszarzanych i zapylonych sprzętów. Pomroka pyłu okryła błękitne obicie na ścianach i przyćmiła złoty blask gwiazd papierowych. Barwa aksamitu na meblach pobladła, bogate firanki opuszczały się u okien w fałdach ciężkich, nierównych, zaniedbanych. Przed jedną z czterech kanap na stole stał srebrny koszyk z bawełną setnego numeru, i w koło niego leżały rozrzucone i opylone frywolitki. Na czterech stołach cztery lampy podnosiły się sztywnie, podobne do głów zakonnic przysłoniętych welonami, żyrandole obleczone oponami z białego płótna, z za których ramiona ich wyginały się w nierówne i bezkształtne wypukłości, wyglądały jak trupy pokaleczone i w śmiertelnych zaszyte koszulach.

(d. c. n.

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Cokolwiek lepiéj stały rzeczy z młodszym bratem, baronem Robertem. Gdy brat jego tak niezaszczytnie skończył karjerę wojskową, Robert pod którym grunt chwiał się także, uznał za lepsze uniknąć wszelkiego rozgłosu. Pogodził się więc z wierzycielami, zamiast ich jątrzyć nowemi podstępami, lub zaprzeczać ważności swoich skryptów, i podał się do dymisji nim mu ją dano. Wyszedł więc prawie cało, poczem pojechał do Stanów Zjednoczonych, aby tam szczęścia spróbować. Przed wyjazdem usiłował wprawdzie zbliżyć się do wuja, ale starzec nie mogąc pojąć, aby taki młody człowiek w sile wieku puszczał się na włóczęgę po świecie dla szukania szczęścia, odwrócił się z gniewem od niego.

Robert Wallmuth nie stracił jednak całkiem odwagi, chociaż chwilowo musiał zrzec się pomocy na którą liczył.

Najważniejsza przeszkoda, przywiléj pierworodztwa, który jego bratu przysługiwał, była przynajmniéj usunięta: stał bowiem o dziesięćkroć wyżéj po nad kał przeszłego i teraźniejszego życia, jakie tenże prowadził. Dyrektor wędrownéj trupy aktorów nie mógł zostać hrabią Amstteten; to była myśl, któréj Robert Wallmuth trzymał się statecznie, patrząc z tajemną radością na wszystkie niedorzeczności swego brata. Usunął się zawczasu od zgiełku światowego, właściwa plama nie ciążyła na nim, wychodztwo zaś jego można było zawsze jeszcze usprawiedliwić chęcią zdobycia za pomocą pracy majątku i niezawisłości, o czem żołnierz a do tego ubogi ani marzyć nie może.

Z pozorną więc rezygnacją i udaną bezinteresownością wybrał się w drogę, nie zaniedbawszy jednak postarać się w cichości o sprzymierzeńca. Sprzymierzeńcem tym był nie kto inny, jak tylko stara pokojowa zmarłéj hrabiny Amstetten, wierna sługa, która pani swojéj w tym samym co ona wieku będącéj, towarzyszyła przy jéj wyjściu za mąż do Amstetten. Po śmierci pani swojéj pielęgnowała jedyne jéj dziecko, a gdy i to poszło na spoczynek, pielęgnowała oba groby. Zestarzała się w Amstetten; hrabia znajdywał w niéj żywe wspomnienie swojéj młodości i dla tego jéj nie oddalał. Staruszka była niezmiernie przywiązana do całéj rodziny Wallmuth, u któréj się wychowała od dzieciństwa. Znała rodziców i brata swojéj pani, a chociaż ta ostatnia była w jéj oczach najświętszą i najlepszą z całéj rodziny, to jednak, będąc może sumienniejszą niż hrabia Amstetten w pojęciach prawnych, przenosiła miłość swą dla zmarłéj hrabiny, zawsze na najbliższych członków rodziny Wallmuth. Przywiązanie to, gdy starszy brat nawet w oczach sługi był już straconym, przeszło w naturalnem następstwie na Roberta Wallmuth, ten zaś za nadto był przebiegłym, aby miał lekceważyć tak korzystną dla siebie życzliwość staruszki. Ona tylko jedna wiedziała zawsze o jego miejscu pobytu, i ciągły z nim utrzymywała stosunek, a gdy nareszcie pewnego razu przywołany został do łoża umierającego wuja nie mylił się gdy sądził, że tylko jéj wytrwałości i usiłowaniom przypisać to powinien.

Ona to lepiéj niż sam Robert potrafiła przekonać hrabiego, że wszystkie czyny bratanka dadzą się usprawiedliwić, że honor i konieczność wymagały tego, aby porzucił życie na śliskiéj drodze w stolicy, jeżeli nie chciał wstąpić w ślady swego brata, lub popaść w ostateczną nędzę. Któż nie wie do jakiéj potęgi zdoła się wznieść poczciwe serce kobiece, gdy idzie o usprawiedliwienie lub uniewinnienie drogiéj mu istoty? Jakich środków używała, co mówiła stara pokojówka, tego nie wiemy, ale to pewna, że zmiękczyła serce hrabiego, i że w trzy miesiące po śmierci Maurycego Amstetten, Robert Wallmuth został spadkobiercą jego imienia i majoratu, który nieboszczyk w ostatnich dniach życia z całą prezornością ustanowił.

Było to zaprawdę niesłychane szczęście, bo ubogi awanturnik stał się nagle jednym z najbogatszych magnatów kraju; blask nowego nazwiska zaćmił lekkie plamy, jakiemi pogłoski okalały dawne nazwisko. Zapomniano chętnie błędy młodości. Niektórzy wprawdzie przypominali je sobie ciągle i obawiali się, że nowo upieczony hrabia nie uniknie pokusy, a niespodziewane bogactwo posłuży mu tylko jako środek, aby życie lekkomyślne rozpocząć na nowo. Wkrótce jednak pokazało się, że byli w błędzie. Hrabia ani nie występował ze zbytecznym przepychem, ani nie zawiązywał luźnych znajomości, —owszem, okazywał się bardzo ostrożnym, a osoby równe mu stanowiskiem przekonały się wkrótce, że pobyt w Ameryce korzystny wpływ wywarł na niego, przyzwyczaiwszy go do porządku i oględności. Poważnem postępowaniem pozyskał wkrótce zaufanie mężczyzn i łaskę kobiet, tak że w najbogatszych i najmożniejszych domach mógł był szukać dla siebie małżonki. Osoba jednak którą pojął, niemiała równie jak on przedtem żadnego majątku. Pochodziła wprawdzie z dawnéj, ale niezamożnéj rodziny, i prócz wdzięków młodości, łagodności i dobroci, która zniewalała wszystkie serca, nieposiadała nic zgoła.

Młoda para ku powszechnemu zdziwieniu nie zamieszkała w Amstetten. Nowy właściciel okazywał niepokonany wstręt wprawdzie nie do dochodów z Amstetten, ale do pobytu tamże, i mieszkał wraz z żoną w mniejszéj, o wiele skromniejszéj majętności w pobliżu stolicy.

Ale jakoś w rok po ożenieniu, wiejskie przyjemności straciły w ogóle wszelki powab dla hrabiego Amstetten. Pobyt w wolnéj Ameryce nie był zapewne dość długim, aby idea niepodległości mogła w nim głębokie zapuścić korzenie, bo hrabia Robert nie pogardził kluczem szambelańskim, gdy mu go książę panujący ofiarował. Odtąd mieszkał stale w stolicy. Nowy urząd przymuszał go występować częściéj niż dotąd, młoda małżonka powinna była zakosztować rozkoszy wielkiego świata, — słowem znalazło się wiele, w oczach ludzi nawet, dość słusznych powodów, aby się rzucić w to hałaśliwe życie, którego z początku zdawał się unikać. Był jednak ostrożniejszym niż dawniéj i utrzymywał porządek w swoich dochodach. Ale bo też dochody były dość znaczne, aby mogły zaspokoić najwyszukańsze życzenia, a świetne uczty i życie huczne, wszystko to nie zdołało naruszyć do dna jego bogactw. Co jednak dziwna, to że piękność jego małżonki bardzo prędko przekwitła: kto ją lat kilka nie widział, nie mógł jéj poznać. Żywa, wesoła, stała się nagle cichą, potulną. Wieczny, trwożliwy niepokój z jakim pilnowała spojrzeń swego męża, okazywał, że nie była szczęśliwą. Powierzchownie uprzejmy, a nawet zachowujący wszelkie względy, starał się ucho dzić za najlepszego męża; wkrótce jednak przekonano się, że temi względami kierowały zawsze własne jego życzenia lub humor, do którego żona zawsze stosować się musiała, a jéj wahanie się i niepewność, ile razy miała zrobić coś samodzielnie lub zdanie swoje objawić, aż nadto zdradzały wielką jéj zawisłość. Nie tyranizował jéj publicznie, ale dręczył ją skrycie, a służba, którą Bóg jakoś zawsze i wszędzie obdarza szczególnie delikatnym słuchem, opowiadała nawet o burzliwych scenach. Bądź co bądź, czułe spojrzenie dostawały się częściéj pięknéj pokojówce hrabiny, niż saméj pani, a bogate klejnoty kiedy niekiedy niby dla małżonki zamówione, błyszczały późniéj na ręku pięknéj tancerki. Tak, prawdą było co sobie tu i owdzie szeptano, —hrabina nie mogła się nazwać szczęśliwą żoną... Lecz była za to szczęśliwą matką. W pokoju dziecinnym, przy dwóch pięknych, dziarskich chłopcach, był jéj świat cały, tam nie brakło jéj odwagi, i dumy, i siły, tam nie była nieśmiałą, potulną kobietą, oczekującą z drżeniem na rozkazy swego władcy. Całem sercem dzieciom oddana, one były jéj zajęciem, rozrywką, marzeniem.

Ojciec nie miał ani czasu, ani ochoty zająć się ich wychowaniem, zostawione były całkiem wpływowi matki, a ta chociaż miękka, powolna, cierpliwa, gdy o nią i jéj sprawę chodziło, wyrabiała w synach swoich silne męzkie charaktery. Pałali oni dla niéj miłością bez granic, uwielbiali ją, a chociaż temperamentem i skłonnościami różnili się od siebie, uczucia te w obu równo były potężne. Im byli starsi, tem lepiéj poznawali i pojmowali stosunek pomiędzy rodzicami; łatwo pojąć, że sąd ich przechylał się na stronę matki. Gdy dorośli, i jeden zaczął uczęszczać na uniwersytet, a drugi wstąpił do wojska, hrabina mieszkała stale na wsi, aby mężowi w jego sposobie życia nie przeszkadzać, a tem spełniła tylko jedno z jego życzeń, dość wyraźnie wypowiedziane.

Tam otrzymała raz list od szwagra, dyrektora teatru. Wymownemi słowy opisywał swoje przykre położenie i użalał się na nieludzkość brata, który będąc tak bogatym odrzucił pokorną jego prośbę o wsparcie. Chociaż sposób pisania dotknął ją nieprzyjemnie, zdawało się jéj, że byłoby rzeczą niegodną opuścić bliskiego krewnego, jedynego brata swego męża, w biedzie i potrzebie. Przy pomocy więc starszego syna, wyznaczyła tajemnie swemu szwagrowi małą pensję roczną, która mogła przynajmniéj zaradzić jego najgwałtowniejszym potrzebom, a nawet zobowiązała syna, że jeżeli kiedyś zostanie rzeczywiście właścicielem majoratu, który zmarły hrabia Amstetten ustanowił, niezapomni o stryju jako członku rodziny.

Chwila ta nie była bardzo daleką, wkrótce jakoś po liście dyrektora teatru, hrabia Robert zamknął oczy po krótkiéj chorobie, a syn jego Paweł, jako starszy, objął mojorat. Nowy dziedzic, który obok dobrego serca posiadał więcéj rozwagi i zimnéj krwi niż matka, dowiedział się wiele niepochlebnych szczegółów, które osłabiły bardzo współczucie jego dla stryja, to jednak nie przeszkodziło mu dotrzymać danego matce przyrzeczenia i udzielić starzejącemu się człowiekowi, a jak się zdawało w najmniejszych zostającemu okolicznościach, skuteczną pomoc. Tylko na odwiedziny, lub wspólne życie familijne, które dyrektor teatru pięknemi i szumnemi wyrazy proponował, bratanek nie przystawał stanowczo. Zaniechano nawet korespondencji listownéj,

która z resztą ze względu na różnicę w położeniu towarzyskiem obu piszących, nie mogła być bardzo zajmującą, a do wypłaty wsparć hrabia używał swego pełnomocnika. Kilkoletnia podróż którą odbył nowy dziedzic majoratu, przyczyniła się do zatarcia stryja w jego pamięci, figurował odtąd tylko w książkach rachunkowych.

Dopiero gdy hrabia Paweł liczył już trzydzieści dwa lub trzy lat, zwiedził znaczną część świata i poznał wiele rozmaitych krajów, powziął zamiar zwiedzenia i tego kawałeczka ziemi, na którem leżała jego posiadłość i to najpiękniejsza. Dawny rządca Amstettenu otrzymał rozkaz odświeżyć i przysposobić na przyjęcie dziedziców zamek wprawdzie dobrze utrzymany, ale od lat trzydziestu pięciu niezamieszkały. Sprowadzono więc malarzy i tapicerów, a gdy ci to i owo odświeżyli, przyozdobiono zamek dziełami sztuki, które hrabia Paweł zgromadził w swoich podróżach, poczem syn i matka zjechali tu na czas dłuższy.

Okolica Amstettenu była czarująca, nadto było tam polowanie wielce obfite, oprócz tego samo gospodarstwo wiejskie na wielki rozmiar prowadzone, w tak wysokim stopniu zainteresowało młodego właściciela, że pozostał tam dłużej, niż zamierzał pierwotnie, i pobyt czasowy zamienił na stały. Potem zaprzyjaźnił się z Ryszardem, a następnie miłość zamieszkała w jego sercu, i wszystko w około niego tak czarującym otoczyła blaskiem, iż zapomniał, że za górami, ograniczającemi widownię jego szczęścia jest jeszcze świat, pełen radości i boleści. I po cóż miałby o tem pamiętać, on, zepsute dziecko szczęścia, który zaledwie z daleka widział ból? Z jakąż pewnością przyciągnął ukochaną do serca, jakże śmiało brał najpiękniejsze kwiaty z rogu obfitości, który mu podawało życie! Bo też któż ją tak kochał jak on? kto miał tyle siły i chęci, aby ją uszczęśliwić, co on? Wysoko podniósł ją w swojem sercu, ale chciał także ugiąć się przed nią nisko, chciał sobie stworzyć szczęście nieprzemijające, utrwalając jéj własne.

Matka pozostała mu tem czem była dla niego w latach dziecinnych: najwierniejszą, najstalszą przyjaciołką, wiedząc zaś z własnego doświadczenia, — że tytuły i bogactwa nie osuszają łez, będących tajemnie codzienną strawą w pożyciu bez miłości, poczytywała zalety ciała i umysłu, zdobiące młodą dziewicę, jako najcenniejszy posag. Było to wśród ciszy wiosennego wieczoru, gdy hrabia przywiózł Gertrudzie wiadomość, że jego matka pragnie powitać ją nazajutrz jako córkę, aby potem osobiście prosić pani Sybilli o jéj rękę dla syna. Stali więc na progu szczęścia, usunięte były wszystkie, nawet najdrobniejsze przeszkody, jakie znalazłyby się może w zmarszczeniu czoła lub westchnieniu ukochanéj matki. Nie podlegało wątpliwości, że matka Gertrudy pobłogosławi z radością to małżeństwo, jako przynoszące jéj dziecku złotą wolność, zamiast złotego więzienia, to też według sądu ludzkiego nie było to zbytecznem w sobie zaufaniem gdy hrabia Paweł przyciskając na pożegnanie piękną swą narzeczoną do serca, szepnął pełen błogiéj pewności:

— Na wieki, na wieki jesteś moją, Gertrudo!

Zamiast odpowiedzieć na te słowa, lub zbyć je milczeniem, jako najwłaściwszym miłości językiem, Gertruda krzyknęła z cicha, bo właśnie w téj chwili oczy jéj spotkały się z groźnem wejrzeniem pani Sybilli, która nagle ukazała się po za plecami hrabiego.

— Nic nie masz wiecznego na ziemi, rzekła szorstko, a boleść trwa dłużéj niż szczęście.

Nie czekała na odpowiedź, owszem, gdy hrabia chciał zbliżyć się do niéj, poszła dalej w swoją drogę, unikając wszelkiego objaśnienia.

— Nie lękaj się, pocieszał hrabia przestraszone dziewczę, czyż ona może kierować sercami ludzkiemi, lub stawiać miłości zapory? Prorokuje z księgi własnéj smutnéj historji, a ponieważ żadna tam karta nie mówi o radości ani o nadziei, wróży tylko nieszczęście. Wszakże jutro przyjdą prosić o twoją rękę; czyż możesz wątpić o mojéj miłości, gdy wszystko co mam u nóg twoich składam, moje mienie, i moje nazwisko, moją duszą, moje myśli i błogosławieństwo matki mojéj?

— Kochasz mię do prawdy, tak bardzo? zapytało dziewczę w słodkiem upojeniu, o Pawle, jakżem szczęśliwa! To co powiedziała ciotka Sybilla, zarumieniło mię i przeraziło, było to bowiem jakby proroctwo, ale twoje słowa wracają mi nadzieję.

Serce przepełnione, czy to szczęściem czy boleścią, tylko w samotności powraca do równowagi, która znowu otwiera je spokojniejszym uczuciom. Paweł więc za powrotem do domu pragnął odetchnąć w samotności, ale tam zdarzył się tymczasem wypadek, który wystawił go na nową grę uczuć. Niezwykły w porządnie urządzonem gospodarstwie ruch pomiędzy służbą, zdawał się oznaczać niespodziewanych gości, ale dziwne jakieś zasmucenie służących czego innego domyślać się kazało. Nim miał czas zapytania się, przyszedł stary Jakób, który mu od dzieciństwa usługiwał, i wiedział że pan nie lubi długich i rozwlekłych przygotowań. Otóż on krótko oświadczył, że popołudniu przyjechał baron Wallmuth'ów dyrektor teatru z córką. Wkrótce po ich przybyciu hrabina rozkazała, aby nikogo nie wpuszczano i nie przeszkadzano rozmowie. Nikt więc ze służby nie ośmielił się wejść do salonu, aż przed półgodziną panna Wallmuth zadzwoniła gwałtownie i z całéj siły zawołała o pomoc. Gdy służący przybiegli, zastali hrabinę leżącą na sofie bez zmysłów, z zamkniętemi oczyma.

Hrabia nie niepytając się o nic więcéj pobiegł. Z dziedzińca jeszcze widział światło w sypialni matki, i domyślił się że tam czeka na niego chora i wycieńczona. Jakoż czekała na niego, pewnie z trwożliwą tęsknotą, bo na jego powitanie wykrzyk boleśny wydała.

— Matko, co się stało? zapytał niespokojnie i pochylił się, aby przy świetle lampy czytać w oczach matki.

Hrabina objęła syna za szyję obiema rękami, i przyciągając go ku sobie wybuchła spazmatycznym płaczem. Paweł usunąwszy lekko jéj ręce, przysunął krzesło do łóżka i usiadł. To, co było krzykiem rozdartego serca, poczytywał za osłabienie nerwowe.

— Różo, dla czego tu nie ma lekarza? rzekł do stojącéj pod oknem pokojówki. Jest to opieszałość prawdziwie nie do darowania!

— Pani hrabina zabroniła, odpowiedziała dziewczyna.

— Ty jesteś lekarzem, szepnęła matka, ty tylko Pawle, od ciebie zależy życie lub śmierć... śmierć okropna, bo rozpaczliwa.

— Matko! zawołał syn, zrywając się z krzesła z przerażeniem, mówisz w gorączce! jesteś...

— Zgubiona, jeżeli mię ty nie ocalisz! odpowiedziała cichym głosem, przyciągając go napowrót ku sobie. Czyż to uczynisz, Pawle? żądać nie mogę, i czekam tylko co postanawisz; ofiara musi być dobrowolna.

— O moja matko, odpowiedział Paweł, czegóż to nie uczyniłbym dla ciebie? Oto moja ręka i słowo. O cóż to idzie? widzę tylko, że się wahasz i namyślasz.

Skinął na Różę aby wyszła, a oddalającéj się powiedział, że zadzwoni jeżeli hrabina będzie czego potrzebowała. Godziny jednak mijały, a nikt nie zadzwonił, nikt nie zawołał. Zdawało się że hrabina wszystko czego potrzebowała, znalazła w synu, lub jego słowach, a słowa te czarodziejską miały widać siłę, bo gdy o brzasku wyszedł nareszcie z sypialni matki i na korytarzu spotkał czekających na niego Różę i Jakóba, którzy go spojrzeniem o dalsze zapytywali rozkazy, odpowiedział im na to nieme ale znaczące pytanie, że matka spi.

Czy i on spał? Stary Jakób słyszał go ciągle chodzącego po pokoju aż do téj godziny, o któréj zwykle przychodził go budzić. Wszedłszy, zastał go nierozebranym.

Nazajutrz domownicy wprędce zapomnieli o całem tem wydarzeniu, zwłaszcza gdy pokojówka upewniała, że hrabina ma się całkiem dobrze. Natomiast wszyscy zwrócili uwagę na gości, a szczególnie na pannę Wallmuth, która zdawała się być nadzwyczaj oryginalną.

Baron Wallmuth zapytawszy o pozwolenie, dość wcześnie przybył do salonu familijnego, gdzie hrabina drżącym głosem i z widocznem zakłopotaniem przedstawiła go synowi. Rozwlekły jego sposób mówienia, nastręczył hrabiemu sposobność przypatrzenia się stryjowi, a hrabinie pozwolił zebrać siły. Był ubrany starannie, chociaż za nadto młodzieńczo na swoje siwe włosy, ale toaleta odpowiadała wybornie wyrazowi wyrafinowanéj zmysłowości, odbijającéj się w każdym rysie dobrze zakonserwowanéj i pełnéj zadowolenia twarzy. Bystry dostrzegacz mógł był dojrzeć w nim ukrytą pod zasłoną jowialności chytrość, która nie troszcząc się o cel i środki, umie wszystko nakłaniać do swoich widoków. Wszedł śmiało i z gęstą miną, ale na jakichkolwiek prawach mogło się opierać jego tutaj przybycie, dumne i imponujące spojrzenie bratanka, wstrzymało jego zapędy. Jako dyrektor trupy wędrownéj, posiadał tajemnice szlachetnéj sztuki aktorskiéj, a jeżeli nie miał jéj geniuszu, to przynajmniéj dźwigał pod pachą niektóre niezbędne jéj rekwizyta. Znalazły się więc i łzy, które wywołała historja przodków, a szczególnie przypomnienie o najdroższym, bracie którego syn miał być żywym obrazem. Ale wzruszenie wkrótce przeszło; wystąpił teraz z całym kramem anegdot i stosunków teatralnych, których posiadał zdumiewający ogromem zapas, obok celującego obrotnością języka, poczem w zupełnie naturalny sposób wspomniał o córce, która jako pierwsza amantka tragiczna przy jego trupie, „okrutne" zbierała tryumfy.

— A propos, musisz być zapewne ciekawym, rzekł obracając się do bratanka, i zdaje mi się że masz do tego prawo.

— Bynajmniéj, dopóki nie zbadam papierów które stryj przywiozłeś, i nie przekonam się że to wszystko co powiedziałeś matce mojéj jest niezaprzeczoną prawdą. Hrabia powiedział to tonem wcale nie zachęcającym dla ojca, chcącego przedstawić swoją córkę.

— Wątpisz? zawołał dyrektor teatru żywo dotknięty. Ale to mię oburza, mój przyjacielu? Będąc także Wallmuthem, powinieneś wiedzieć, że w tym względzie jesteśmy drażliwi. Spodziewałem się znaleść wdzięczność, nie warunki.

— Czy stryj mało ich postawiłeś? odparł hrabia spokojnie.

Dyrektor teatru przygryzł wargi.

— Cicho, cicho mój przyjacielu, rzekł z uśmie-

chem; powinniśmy wspierać się wzajemnie a nie szkodzić sobie. Obadwaj jesteśmy Wallmuthami, obadwa mamy święty obowiązek utrzymywać świetność naszego herbu.

Hrabia machnął ręką z lekceważeniem, na co jednak tamten nie uważał.

— Czy chcesz obejrzeć pierwéj moje papiery, czy poznać Ingeborgę? zapytał układnie.

— Sądzę, że lepiéj załatwić rzecz po kolei, odpowiedział hrabia zimno; zacznijmy od papierów.

Dyrektor teatru wstał żywo i idąc poważnie ku drzwiom, zwrócił się ku bratankowi z gestem zapraszającym.

Gdy się drzwi zamknęły za nimi, hrabina padła na kolana przed obrazem Matki Boskiéj, patrzącéj dobrotliwie na głęboką boleść, która przejmowała serce téj nieszczęśliwéj kobiety i odbijała się w rysach jéj twarzy. Milczała, wargi jéj nie poruszały się nawet, ale błyszczące w oczach łzy, wyrażały modlitwę gorącą o miłosierdzie i wybawienie.

Owocem każdéj modlitwy, chociażby nie została wysłuchaną, jest uspokojenie, siła poddania się i zniesienie ciosu. Gdy drzwi znowu się otwarły, hrabina spojrzawszy na uśmiechniętą tryumfująco twarz swego szwagra, na blade ale spokojne rysy Pawła, odgadła, jak się wszystko rozstrzygnęło. Nie pytała o nic; nim przemówiła, syn potwierdził jéj obawę, błagając ją spojrzeniem o spokój i panowanie nad sobą.

— Czy chcesz Pawle poznać teraz przyszłą twoją małżonkę? zapytał dyrektor teatra uprzejmie, ale nie bez lekkiego szyderstwa.

— Jestem przynajmniéj gotów, odparł hrabia spokojnie.

— Przyprowadzę ją więc, powie baron Wallmuth; chciałbym odjąć temu przedstawieniu wszelki przymus i załatwić rzecz bez formalności. Jesteście przecież krewnymi, a więc precz z ceremoniami. Zawsze ich nienawidziłem, i osoby do których zbliżała mię moja miłość i gorliwość dla sztuki, witałem zawsze po przyjacielsku, serdecznie, i zawsze przy tem zyskiwałam. A więc niechże przyjdzie Ingeborga, czyli raczéj panna młoda.

Dyrektor teatru wyszedł dla wykonania swego zamiaru, a matka i syn zostali sami.

— Nie, nie, tyś nie powinien Pawle, zawołała hrabina z boleścią. Tyś nie powinien. Ty, tak dumny, tak młody, tak szlachetny, tak pełen nadziei i mający prawo do nadziei szczęścia, a ona!

Paweł wziął matkę za rękę i patrząc jéj w oczy, rzekł:

— Chociażby aniołem była i na swoich skrzydłach przynosiła szczęście niebios, o matko, jabym jéj nie kochał i pogardziłbym jéj niebem. Ciesz się, że mi nie przynosi wdzięków wiosny, że mienie moje i nazwisko wyżéj ceni, aniżeli moją miłość, któréj jéj dać nie mogę.

— Nie, nie, zawołała hrabina w trwodze śmiertelnéj, zostań wolnym, niech się dzieje co chce, chociażbyśmy zginąć mieli.

— Ja stoję na straży, rzekł dumnie. Nikt, ani ty matko, nie może mi przeszkadzać. Jeden tylko stawiam warunek, niech Feliks zostanie szczęśliwym, niech nie wie o tem, co ciebie dręczy i mnie nęka. Pocóż zasmucać tyle serc? Ja tu jestem, aby cię wspierać, gdy ci będzie za ciężko, zawsze znajdę dla ciebie słowo miłości i pociechy. A teraz nie osłabiaj mego postanowienia, niech się dzieje wola Boża!

Hrabina nic nieodpowiedziała, bo drzwi się otwarły i panna Wallmuth weszła do pokoju. Była to osoba już nie pierwszéj młodości, w białéj sukni, ubranéj różowemi wstążkami i mnóstwem róż w około chudego, zapadłego gorsu. Szła z głową zwieszoną, ze spuszczonemi nieruchomo rękami, jak baran ofiarny prowadzony do rzeźni. Dopiero gdy stanęła przed hrabią, otworzyła oczy, lecz wnet zamknęła je znowu jakby co strasznego ujrzała.

— Twój przyszły mąż, Ingeborgo, rzekł ojciec, podaj mu rękę moja córko. Nie sprzeciwiaj się, taki był zawsze zwyczaj w rodzinach Amstettenów i Wallmuthów; jako najstarszy członek starszéj linii, zezwalam na ten związek obu nazwisk i błogosławię.

Poważna narzeczona zrobiła ruch naprzód, aby podług zwyczaju teatralnego rzucić się w objęcia oblubieńca. Lecz ten wziął ją tylko za rękę, i uścisnąwszy, rzekł:

— Czy i pani, zgadzasz się na to, panno Wallmuth, zostać żoną człowieka, który serce swoje oddał innéj, chociaż będzie czuwał nad swojemi myślami, aby nie poszły krzywą drogą, nic pani dać nie może, prócz tytułu i nazwiska? Czy wiesz pani, bo nie chcę aby panią haniebnie pod moim dachem oszukiwano, że uczyniłem wszystko, co było w ludzkiéj mocy, aby odwrócić ten związek, który gruchoce szczęście dwóch serc, że przystają na niego tylko dla tego, ponieważ ojciec pani nie chce przyjąć żadnéj innéj nagrody, i nie zostawia mi innego środka dla ocalenia honoru i losu rodziny.

Zdawała się namyślać, czy odpowiedzeć tonem dramatycznym czy tragicznym. Ostatni zdawał się jéj lepszym.

— I ja jestem Wallmuthówna! zawołała patetycznie, i ja szanuję obowiązki mego stanu, i ja ponoszę ofiarę. Właśnie takiéj pragnęłam miłości: bo szczęście podzielone jest podwójnem szczęściem, a boleść podzielona, połową boleści.

— Ale któż od pani wymaga téj ofiary? zapyta Paweł zdziwiony, cóż mogło panię zmusić do wyparcia się swego powołania i przytłumienia prawdziwéj skłonności serca?

— Krew, która płynie w moich żyłach! zawołała, te groźne twarze przodków, którzy z portretów wołają do mnie: Zgubiona, nieszczęśliwa, pokalałaś twoją tarczę herbowną.

— A tak, pokalała, rzekł, śmiejąc się ojciec; i to jeszcze warząchwią, przy naszéj truppie bowiem był aktor, grywający bohaterów, z powołania kucharz i ten kochał się trochę w Ingebordze.

— Ojcze! zawołała dawna amantka głosem przéjmującym.

— Z powołania kucharz, potwierdził raz jeszcze, a przytem biedny jak mysz kościelna. O ożenieniu naturalnie i mowy być nie mogło.

Hrabia nie słuchał dalszego ciągu opowiadania.

— Chcesz pani więc? zapytał podając jéj prawą rękę — ważny to krok, i nie tajmy tego przed sobą; droga nie wesoła. Przyrzekam pani czuwać nad mojemi myślami i czynami, pamiętać o tem, co jestem winien żonie i nazwisku, które oboje nosić będziemy, ale to jest wszystko, co pani dać mogę. Nie żądam nawzajem od pani żadnéj obietnicy; pani mówisz, że honor domu jest ci drogi, niechże więc on będzie dla nas wskazówką na ścieszce życia, a tak pójdziemy przynajmniéj jedną drogą.

Tak odbyły się zaręczyny, a stosunek z Gertrudą został rozwiązany.

Napisawszy do Gertrudy i pomówiwszy z Ryszardem, wyjechał, szukając w podróży pociechy dla znękanego serca i wrócił dopiero w sam dzień wesela to jest za kilka tygodni. Nie chciał ukochanéj a tak ciężko stroskanéj matki zasmucić jeszcze bardziéj i dręczyć widokiem własnego cierpienia. A jednak trudno mu było poskromić młode swoje i krnąbrne serce, opierające się rozpaczliwie jarzmu, które na niego nałożono, jego dumna, silna, męzka natura nie chciała tak prędko ugiąć się pod przymusem i koniecznością, a ztąd wynikła walka wewnętrzna, która zatrzęsła do głębi całą jego istotę, i wyczerpała jego siły.

Była to walka śmiertelna, chwile słabości i rozpaczy, które późniéj nie bez wzdrygnienia sobie przypomniał. Szczęściem stary Jakób, przypadkiem czy umyślnie zapakował z rzeczami portrecik hrabiny, który niegdyś zdobił pokój dziecinny obu braci, a który chłopcy wieszali pod obrazem Matki Boskiéj, utrzymując że jest do niego podobny z łagodnego wejrzenia. Jakoż i teraz łagodne to wejrzenie wywierało wpływ na wrzące serce mężczyzny, jak niegdyś na wyobraźnię dziecka. Gdy pomyślał, że to dla niéj czyni, aby jéj siwą głowę ochronić od niezasłużonéj hańby, wówczas wola odzyskiwała znowu władzę nad wzburzonem uczuciem.

Gdy powrócił, odzyskał już zupełnie władzę nad sobą, unikał rozmów o swoim losie nawet z matką, któréj okazywał podwójną miłość i uszanowanie. Ślub dawał kapelan w kaplicy zamkowéj, obrzęd odbył się bez żadnéj wystawności, i uczty weselnéj nie było. On chciał tego, a panna młoda zastosowała się do jego woli, sądząc, że śluby takie są w zwyczaju u najwyższéj arystokracji. Feliks, młodszy brat hrabiego, którego te niespodziewane zaręczyny, zwłaszcza gdy wesele tak wkrótce po nich nastąpiło, nie mało przeraziły, przybył na ślub. W zdumionych, naganiających spojrzeniach młodego oficera, wyczytał wyrok reszty świata. Że tylko ważne powody przymusiły hrabiego do tego kroku, aż nadto było widocznem, a tajemnica, która te powody otaczała, i któréj Paweł nigdy przed bratem nie odsłonił, oziębiła miłość dwóch braci, którzy tak szczerze żyli przedtem ze sobą. Paweł osamotniał więc i z téj strony, Feliks zaś pozostał swobodnym i wesołym jak dotąd; żaden cień nie zaciemnił jego dumnéj pewności siebie, z jaką jasno w przyszłość spoglądał.

Łzy matki przypisywał głównie temu, że Paweł zawarł ubliżające sobie małżeństwo, bez względu na swój stan, a co dawniéj powiedział raz z żartu, że chce sprzedać swój tytuł hrabiowski, tego nie można było wybić mu z głowy. Myśląc w tym względzie o Malwinie Steinlach, nie zrażał się bynajmniéj mieszczańskiem jéj pochodzeniem. Młodszym synom wolno było żenić się z osobami niższego urodzenia, jeżeli te odznaczały się natomiast wykształceniem umysłowem i pięknością, lub posiadały znaczny majątek. Wieści zaś zawsze jeszcze obiegały o wielkich bogactwach Steinlachów, zwłaszcza w wyższych kołach towarzyskich, nie mających styczności z światem handlowym, gdzie wieści te można było sprawdzić. Malwina posiadała to, czego jemu niedostawało, a jak była piękną i godną kochania, to powtarzało mu zawsze własne jego, niespokojne serce. Jeżeli tytuł jego hrabiowski, miał istotnie jaką wartość, zdawało się że tu weźmie za niego najlepszą zapłatę, a osobiste wdzięki Malwiny byłyby wcale nie obojętnym przydatkiem. Dla tego zabawił w Amsttetten daleko dłużéj niż był zamierzył z początku, i ciągle przedłużał swój urlop, pomimo nieukontentowania jakie teraz w kole jego rodziny panowało.

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dalszy ciąg)

Prowadząc coraz więcéj ożywiająca się rozmowę, rozgadał się do tego stopnia, że już zaczął rozprawiać o miłości, o kobietach, o swojéj przyszłości, o tem, jak pojmuje szczęście i czego żąda od losu... Tłumaczył się przenośniami, napomknieniami, i w przeddzień spodziewanéj możliwie śmierci Włodzimierz Astachof, zaczął zalecać się Nadziei Aleksiejewnie. Ta słuchała go uważnie, uśmiechała się, kręciła głową, to sprzeczała się z nim, to udawała niedowierzającą. Rozmowa często przerywana nadchodzącemi tancerzami i damami, ku końcowi wzięła kierunek nieco dziwny. Włodzimierz Astachof zaczął wypytywać Nadzieję Aleksiejewnę o nią samą, o jéj charakter, jéj sympatje... Ona odpowiadała z początku żartami, a potem nagle i zupełnie niespodzianie zapytała go, kiedy wyjeżdża?

— Dokąd? zapytał ze zdziwieniem.

— Do siebie, do domu.

— Do Sasowa?

— Nie, do domu, do dóbr tamtych o sto wiorst ztąd.

Włodzimierz Astachof spuścił oczy.

— Wypadałoby jak najprędzéj, rzekł z zakłopotaniem. Może jutro.... jeżeli żyć będę. Przecież mam tyle zajęcia! Lecz zkąd to przyszła pani tak nagle myśl pytać mnie o to?

— Tak sobie! odpowiedziała Nadzieja Alekiejewna.

— Jednakże dlaczego?

— Tak sobie, powtórzyła..... Dziwi mnie ciekawość człowieka, który ma wyjechać jutro, a dziś chce poznać mój charakter....

— Lecz pozwól pani.... zaczął Włodzimierz Astachof...

— Ah, w samą porę... przeczytaj to pan, przerwała mu ze śmiechem Nadzieja Aleksiejewna, podając kartkę z karmelkiem wziętą ze stolika obok stojącego, i powstała na spotkanie Marji zbliżającéj się w towarzystwie drugiéj damy.

Marja tańczyła z Wieretjewem. Twarz jéj pokryła się rumieńcem. zaczerwieniła lecz nie rozweseliła.

Włodzimierz Astachof spojrzał na kartkę, na któréj niekształtnemi literami wydrukowane były wyrazy:

„Qui me néglige, me perd."

Podniósł oczy i spotkał spojrzenie Stelczyńskiego zwrócone wprost na siebie. Włodzimierz Astachof uśmiechnął się z przymusem, oparł na poręczy krzesła i założył nogę na nogę.

W téj chwili czupurny artyllerzysta przyprowadził w tańcu Nadzieję Alksiejewnę do jéj krzesła, dzielnie się z nią wykręcił, ukłonił, brzęknął ostrogami i odszedł.

— Czy mogę zapytać, rzekł zwolna Astachof, jak mam sobie tłumaczyć ten napis?...

— A co tam było napisane? zapytała. Nadzieja Aleksiejewna. Ach, prawda! Qui me néglige, me perd. No cóż!

— To piękne prawidło życia, które na każdym kroku przydać się może. Żeby mieć powodzenie w czemkolwiek, nie trzeba nic lekceważyć. Należy domagać się wszystkiego... może nam dostanie się cośkolwiek. Lecz śmiesznem mi się wydaje, że ja panu — praktycznemu człowiekowi, mówię o prawidłach życia...

Nadzieja Aleksiejewna roześmiała się, i Astachof naprożno już do końca mazura usiłował wznowić poprzednią rozmowę. Nadzieja Aleksiejewna unikała jéj z uporem, kapryśnego dziecka. Astachof mówił jéj o swoich uczuciach, a ona albo nieodpowiedała mu wcale, albo zwracała jego uwagę na ubiory dam, na śmieszne twarze niektórych mężczyzn, na zręczność z jaką tańczył jéj brat, na piękność Marji Pawłowny, albo mówiła o muzyce, o dniu wczorajszym, o Jegorze Kapitoniczu i o jego małżonce.

— Tylko po skończeniu mazura, gdy Astachof jéj się kłaniał, rzekła z ironją w uśmiechu i spojrzeniu:

— Tak więc z pewnością pan wyjeżdżasz jutro?

— Tak jest, —i może być bardzo daleko, dodał ze znaczeniem....

— Życzę panu szczęśliwéj podróży.

I Nadzieja Aleksiejewna szybko zbiżyła się do swego brata, wesoło szepnęła mu coś do ucha, potem zapytała głośno:

— Jesteś mi wdzięczny? wszak prawda? żeby nie ja, onby ją z pewnością poprosił do mazura.

Wieretjef wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— Jednak z tego wszystkiego nic nie będzie.....

Nadzieja wyprowadziła go do bocznych pokoi.

— Kokietka! — pomyslał Astachof i wziąwszy kapelusz niewidocznie wymknął się z sali, poszukał swego służącego, któremu przykazał być ciągle w pogotowiu, i już wdziewał palto, gdy mu służący doniósł na wielkie jego zdziwienie, że kuczer niewiadomo jakim sposobem, tak się upił że niepodobieństwo go zbudzić. Wyłajawszy kuczera nadzwyczaj krótko lecz silnie (rzecz działa się w przedpokoju) i oświadczywszy lokajowi, że jeżeli jutro, skoro swit, kuczer nie będzie gotowy, to nikt w świecie nie może przewidzieć co może zajść, Astachof powrócił na salę i poprosił o wskazanie mu sypialnego pokoju, nie czekając na kolację, która była już gotową. W tem, jakby z pod ziemi, zjawił się tyż obok Astachowa gospodarz domu Gabriel Stepanicz, który nosił buty bez obcasów, i dlatego chodząc nie robił żadnego hałasu, zaczął zatrzymywać go zapewniając, ze na kolację będzie kawior pierwszego gatunku, lecz Włodzimierz Astachof wymówił się bólem głowy. W pół godziny później leżał już na małem łóżku, pod krótką kołdrą, i usiłował zasnąć.

Jednak w żaden sposób nie mógł tego dokazać. Nadaremnie przewracał się z boku na bok, starał się nawet myśleć o czem innem, — postać Stelczyńskiego tkwiła mu bez przestanku przed oczami....... Oto celuje..... oto wystrzelił.... „zabity Astachof" powiada ktoś. Włodzimierz Siergieicz nie mógł nazwać się bardzo odważnym, ale nie był też i tchórzem: myśl jednak o pojedynku z kimkolwiek, nigdy nie przeszła mu przez głowę. Strzelać się! przy jego rozsądku, spokojnem usposobieniu, poszanowaniu przyzwoitości, przy marzeniach o przyszłem położeniu i korzystnem małżeństwie! Gdyby rzecz nie dotyczyła jego własnéj osoby, to śmiałby się do rozpuku, tak dalece niedorzeczną i smieszną wydawała mu się cała ta historja. Strzelać się! z kim, o co?!

— Co u djabła! co za głupstwo! zawołał mimowolnie na głos. No, a jeśli on mnie i zabije, myślał w dalszym ciągu: — trzeba będzie jednak przygotować się, poczynić rozporządzenia.... I z gniewem zamknął szeroko roztwarte oczy i nasunął kołdrę na szyję... z tem wszystkiem zasnąć nie mógł.

Zorza już zabłysła na niebie, i Astachof zmęczony gorączką bezsenności zaczął już drzymać, gdy nagle poczuł jakiś ciężar na nogach. Otworzył oczy..... na posłaniu jego siedział Wieretjef.

Astachof zdziwił się nadzwyczaj, zwłaszcza gdy spostrzegł że Wieretjef był bez surduta, z pod rozpiętéj koszuli widać było obnażoną pierś, włosy spadały mu na czoło i twarz zdawała się zmienioną. Włodzimierz Astachof usiadł na łóżku.

— Czy wolno mi zapytać.. odezwał się.

— Przyszedłem do pana, rzekł Wieretief silnym głosem. — wybacz że w takim stanie.... piliśmy cokolwiek..... chciałem pana uspokić. Powiedziałem sobie: tam spoczywa dżentelmen, który zapewne spać nie może. Poratujmy go. Wiedźże pan, że jutro nie strzelacie się, możesz więc spać tak długo jak ci się podoba.

Astachof zdziwił się jeszcze bardziéj.

— Co pan powiedziałeś? mruknął.

— Cóż, — wszystko załatwione, mówił daléj Wieretief: — ten jegomość z nad brzegów Wisły.... Stelczyński przeprasza pana... jutro odbierzesz od niego list... powtarzam panu — wszystko ułożone..... śpij sobie!

I powiedziawszy te słowa Wieretjef wstał i niepewnemi krokami skierował się ku drzwiom.

— Lecz pozwól pan, zawołał Astachof: — zkąd możesz wiedzieć, i jak ja mogę wierzyć?...

Wieretjef popatrzył na niego.

— A a a...! pan sądzisz że ja.... ten... i lekko potoczył się naprzód. Powiada się przecież, że jutro otrzymasz list od niego... Nie budzisz we mnie szczególnéj sympatji, lecz wspaniałomyślność, moja słaba strona.. zresztą co tu gadać... przecież to wszystko bzdurstwo.

...A przyznaj pan, dodał mrugnąwszy okiem: — jednak stchórzyłeś, co?

Włodzimierz Astachof rozgniewał sie.

— Pozwólże nakoniec mój panie, przemówił...

— No, dobrze, przerwał mu Wieretjef z dobrodusznym uśmiechem: nie unoś się pan. Tutaj przecież, wiadomo wszystkim, żaden bal bez tego się nieobejdzie. To już taki u nas zwyczaj. Skutków to złych nigdy za sobą nie pociąga. Komuby to chciało się głowę nadstawiać?

Ale czemuby nie zafanfaronować? naprzykład z przyjednym, co? *In vino veritas*, lecz prawda, obadwa nie umiemy po łacinie. Jednak ja widzę z pańskiéj fizjonomji, że mu się spać chce. Spokojnéj nocy życzę panu, panie praktyczny człowieku, zacny śmiertelniku. Przyjmij to życzenie od drugiego smiertelnika, który sam grosza miedzianego nie wart. *Addio mio caro!*

I Wieretjef wyszedł.

— Co to znaczy u djabła! za wołał po chwili Włodzimierz Siergieicz, uderzywszy pięścią w poduszkę: — to przechodzi wszelkie granice!... to musi się wyjaśnić! ja tego nie ścierpię!

Mimo to, w pięć minut później, zasnął snem mocnym i spokojnym. Na sercu lżéj mu się zrobiło. Minione niebezpieczeństwo zawsze napełnia słodyczą i zmiękcza ducha ludzkiego.

(d. c. n.)

Tygodnik Mód
w Warszawie 1871 r.
do N: 33.

N: 1 do 12 Desenie do wyszycia sutaszem.

N: 13 do 43 Litery do znaczenia bielizny.

N: 4 Deseń do wyszycia poduszki na kanapę.

N: 5 Deseń na serwetkę do raków

N: 4-47 Desenie na czapeczkę mezką

N: 8 Lambrekina do serwety sukiennéj na stół, aplikacja i haft.

N: 9 Medaljon na narożnik krawatki muślinowéj, czepeczka negliżowego itd.

N: 50-53 Desenie na serwetki do przykrycia mebli, Aplikacja, ścieg łańcuszkowy i haft atłaskowy

N: 54 Desenie do wyszycia sutaszem.







Tygodnik Mód

w Warszawie 1871 r.

N° 1 i 2. Desenie na serwety sukienne na stół

N° 3 i 4. Szlaki na obrusy lub firanki kościelne

N° 5. 6. 7. 8 i 9. Szlaki do wyszycia sutaszem.

N° 10 do 13 Narożniki do krawatek muślinowych

N° 14 do 16 Narożniki do chustek od nosa.

N° 17 do 20. Kwadraty na haft atlaskowy do rozmaitego użytku.

N° 21 do 24 Szlaczki na falbanki.

N° 25 do 28. Szlaki do białych spódnic.

N° 29. Lambrekina, czyli szlak do serwety sukiennej.

N° 30. Narożnik do kołnierzyka.

N° 31. Deseń na szlaczek gipiurowy.

N° 32 i 33 Narożniki do krawatek muślinowych

N° 34 i 35. Deseniki do wyszycia sutaszem.

N° 36 Narożnik do chustki od nosa.

N° 37 i 38 Desenie do wyszycia sutaszem

Litery rozmaite do zaznaczenia bielizny.